Nr. 26. Poznań, niedziela 28-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Od Redakcyi.
Lekarz-kobieta.
Polityka: Przegląd prasy polskiej p. —ski.
Literatura i sztuka: Słów kilka z powodów „Żalów krytyka“ p. Nobody'ego. — Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej IV p. J. Aleksotę. Salony paryskie 1896 p. Stefana Waszyńskiego.
Życie społeczne: Walka z alkoholem w Ameryce p. K. — Odezwa w sprawie statystyki studyów kobiecych.
Wolne głosy: O prawdę p. K.
Feljeton: To i owo: (Epizod z wojny. — Wystawa paryzka w r. 1900. — Honor oficerski.) — Na wyłomie p. Sulle.
Kronika literacka.
Odezwa.
Kronika powszechna.
Odpowiedzi Redakcyi.
Odcinek: Pełnia p A. Niemojewskiego.

Czas odnowić przedpłatę!

Przedpłata kwartalna wynosi:
Na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi
5 mr. (3 złr.)
W mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej wraz z odnoszeniem do domu
4 mr.
We wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową
5,50 mr.
„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 90a.

Od Redakcyi.

U progu nowego kwartału prosimy przyjaciół naszych serdecznie o rozszerzanie »Przeglądu Poznańskiego« w jaknajszerszych kołach społeczeństwa, zapewniając z swej strony, że mimo »martwego sezonu« pismo to odznaczać się będzie fizyognomią barwną i żywą. Nasze rozgałęzione stosunki literackie stanowią gwarancyę, że czytelnicy znajdą w »Przeglądzie« interesujące oceny wszelkich ważniejszych kwestyi z dziedziny życia społecznego, literatury, nauki i sztuki, a rosnący zastęp współpracowników miejscowych nastręcza nam sposobność poświęcenia szczególniejszej uwagi palącym sprawom ściślejszej ojczyzny. Zapoczątkowane przez nas zszeregowanie inteligencyi demokratycznej w silne i jednolite stronnictwo wymaga organu, któryby stanowił łącznik ideowy między zwolennikami nowych, coraz energiczniej do zwycięstwa zdążających prądów. Tym łącznikiem byliśmy dotychczas i nadal zostać pragniemy, a im żywszemi sympatyami zwolennicy wspólnej idei otoczą »Przegląd Poznański«, tem wszechstronniej i dokładniej spełniać będzie redakcya zadanie swoje, torując tem samem coraz skuteczniej drogę do ostatecznego tryumfu.

Nadmieniamy wreszcie, że w dziale powieściowym zamieścimy już w najbliższym czasie kilka interesujących utworów pierwszorzędnych polskich i cudzych pisarzy.

Kobieta-lekarz.

Wystąpienie profesora uniwersytetu wiedeńskiego dra Alberta, który w broszurze, ogłoszonej pt: „Die Frauen und das Studium der Medicin“, oświadczył się wprost i bezwzględnie przeciwko dopuszczeniu kobiet do studyów lekarskich, stało się jednym z najgłośniejszych wypadków chwili bieżącej. Autor, pierwszorzędna zresztą powaga naukowa w świecie medycznym, nie spodziewał się zapewne, że wywoła tak kolosalną polemikę, nietylko ze strony kobiet, ale i kolegów, polemikę, która nań silne a zasłużone ściągnęła gromy. Do walki przeciw na wskroś reakcyjnym poglądom prof. Alberta stanęły najpierw niewiasty z tytułem doktorskim, a na czele dr. Rozalia Kerschbaumer, jedyna praktykująca w Austryi (w Salzburgu) lekarka, ostatniemi czasy powołana do Petersburga. W pomoc pospieszyło im poważne stowarzyszenie kobiet „Der allgemeine österreichische Frauenverein“, z przedstawicieli zaś płci brzydkiej przyłączyli się do strony walczącej najpierw niektórzy posłowie do parlamentu, jak Engelbert Pernersdorfer, dr. Wiktor Kraus, dalej koledzy uniwersyteccy dra Alberta, jak dr. Benedikt, dr. Antoni Meyer, dr. Emil Zuckerkandel i inni, wreszcie także profesorowie zagranicznych uniwersytetów, jak prof. Miecznikow i dr. Maurycy Loewy, dr. Dorota Klumpke z Paryża, dr. Łukaniow, dr. Arystydes Brezina z Petersburga i wielu innych. Za dr. Albertem, w jego obronie, stanął tylko współkolega jego dr. Schrotter, który atoli, jak to w podobnych wypadkach nieraz się zdarza, zamiast poprzeć świeżemi argumentami twierdzenia swego przyjaciela, nic nie przytoczył nowego, lecz przeciwnie, większą część argumentów dra Alberta osłabił a nawet zupełnie obalił.

Ze względu na zajmującą treść i aktualny przedmiot tej polemiki, w której odsłoniły się zapatrywania kilku pierwszorzędnych powag naukowych, postaramy się w krótkości bodaj ją naszkicować, podając z niej szczegóły ciekawsze.

Paniom pierwszeństwo.

Wdzięczną — pisze ciętym sposobem dr. Rozalia Kerschbaumer w jednym z tygodników wiedeńskich – trzeba być prof. Albertowi, że poruszył tę kwestyę, gdyż okazało się, że nawet tak znakomita powaga naukowa, jaką on jest, potrafi wypowiedzieć poglądy, które żadnej nie wytrzymują krytyki. Autor nie może pojąć, aby kiedyś mogło być inaczej, jakkolwiek na świecie zaszły zmiany, o jakich się nawet profesorom nie śniło. Nie może żadną miarą pojąć, że kobieta podlega wolnemu rozwojowi, lecz wierzy w to niewzruszenie, że dusza kobiety inną jest niż u mężczyzny; zdaje mu się, że dziedziczność ojcowskich przymiotów nie odnosi się do córek i że przeto mózg kobiety „musi“ mieć pewne granice. W dalszym ciągu kreśli oponentka stan kwestyi kobiecej w każdym kraju z osobna, wylicza ilość studentek, wykazuje usługi, jakie one społeczeństwu oddają. W ustępie odnoszącym się do Rosyi cytuje zdanie dra Uwarowa, wypowiedziane na kongresie lekarskim w Petersburgu 1880 r. „Kobieta lekarka rozwija znakomitą czynność, a wśród ludzi, zwłaszcza zaś wśród kobiet, cieszy się większą wziętością, niż lekarze-mężczyźni. Wpływ jej na zdrowie i moralność ludzi jest nader zbawienny i temu to jej wpływowi zawdzięczyć trzeba, że choroby weneryczne i prostytucya znacznie się zmniejszyły.“ Wywody swoje kończy dr. Kerschbaumerowa temi słowy: „Sprawa studyów kobiecych jest nietylko kwestyą społeczną, którą można według potrzeby regulować, ale ma także w najdosłowniejszem tego wyrazu znaczeniu istotne cechy kwestyi prawnej. Juryści przy każdej sposobności twierdzą, że państwo nowożytne jest państwem prawnem. Jeżeli tak jest, to państwo powinno i musi przyrodzonego prawa kobiety

do równego wykształcenia sił i zaspokojenia jej potrzeb duchowych bronić, nie zaś wyrządzać większości obywateli (którą stanowią kobiety) krzyczącą niesprawiedliwość przez zagradzanie jej drogi do studyów. Silniejszą od „veta“ uczonych reakcyonistów, jest potęga żywotnej idei. Ja przynajmniej spodziewam się jeszcze dożyć, że i w Austryi kobiety - lekarki współzawodniczyć będą z mężczyznami na polu Albertowskiej „ars divina.“

Poważnie i z godnością odpowiedziała d-rowi Albertowi panna Dorota Klumpke, doktór matematyki, asystentka obserwatoryum paryzkiego. Wykazała, że współdziałanie kobiety na polu nauki nie jest bynajmniej nowością, że już w czasach dawniejszych niewiasty z powodzeniem w pracach naukowych udział brały. W XVI wieku np. aby już tylko mówić o swoim zawodzie, astronomowie najgorliwszych współpracowników mieli w swych żonach i córkach. Państwo wiedzy jest niezmierzone, miejsca w niem i dla kobiet nie zabraknie z pewnością. W Ameryce kwestya studyów kobiecych jest już oddawna przesądzona i załatwiona, a we Francyi (w Paryżu) dopuszczono kobiety do wszystkich wykładów uniwersyteckich i do egzaminów. W Paryżu są kobiety-lekarki, dentystki itp., a obok nich inne zajmują się badaniami i wiedzą teoretyczną. Żadna z nich na brak dochodów uskarżać się nie może, a mimo to nie miałam sposobności od współzawodników mężczyzn słyszeć utyskiwań z powodu konkurencyi niewiast... Mówi się, że kobiecie brak wszelkich zdolności kobiecych. Ależ to właśnie pówinnoby uspokoić wszystkich geniuszów, którzy walkę przeciw studyom kobiecym prowadzą! Niczego nie żądamy, jak tylko wolności pracy. Jeżeli nie potrafimy wznosić gmachów wiedzy, to niech nam wolno będzie przynajmniej dopomagać w znoszeniu kamieni i cegieł do budowy tych gmachów. Że praca nasza będzie może przecież coś warta, doświadczenie już o tem dostatecznie poucza.

„Powszechne austryackie stowarzyszenie kobiet“ w Wiedniu odpowiedziało na pismo prof. Alberta jednomyślnem uchwaleniem petycyi, żądającej w tonie stanowczym dopuszczenia kobiet do studyów medycznych i dozwolenia praktyki lekarskiej tym, które uzyskały stopień doktorski na którymkolwiek z uniwersytetów zagranicznych. Uchwałę powyższą poprzedziła obszerna w stowarzyszeniu dyskusya, z której na uwagę zasługują dwa szczególne głosy: przewodniczącej towarzystwa panny Augusty Fickert i nauczycielki Maryi Mussil.

Pierwsza z nich w dziejach kultury liczne dowody żywego współudziału kobiety na wszystkich polach pracy ludzkiej znalazła. W pierwotnych już czasach, kiedy mężczyzna siłę swą wytężał ku zdobyciu środków żywności, w rękach kobiety spoczywał cały przemysł. Kobiecie też z owych zamierzchłych czasów zawdzięczać należy niejeden wynalazek, większej może doniosłości niż dzisiejsze pomysły konstruowania skombinowanych maszyn. Prawda, że z biegiem czasu, z postępem rozwoju ducha ludzkiego, odstęp między mężczyzną i kobietą stawał się coraz większym, tak iż dziś kobiety ani w sztuce ani w nauce nie mogą się wykazać reprezentantkami, któreby godnie postawić można obok znakomitych bohaterów ducha płci męzkiej. Ale mimo to imiona Safony, Hypatyi, Zofii Germain, Mary Sommerville, Zofii Kowalewskiej, Ady Negri i innych — nie pozwalają wątpić o genialności mózgu kobiety. Prof. Albert w broszurze swej chce koniecznie wykreślić kobietę z rodzaju „homo sapiens,“ atoli w sprzeczność z samym z sobą popada, gdy mówi o jedności i równorodności intelektu u człowieka i zwierzęcia, bo chociażby nawet zaliczył kobietę do rzędu zwierząt, to jednak musi przyznać kobiecie także ową jedność i równorodność z mężczyzną. Oponentka słusznie w końcu zauważa, że do ustalenia granic zdolności kobiecego mózgu potrzeba: 1) ogromnego pogłębienia naszych wiadomości biologicznych, 2) wyjaśnienia praw życia psychologicznego i 3) doświadczenia.

Nauczycielka wiedeńska panna Mussil przypomniała, że podobna walka zdań zawrzała onego czasu, gdy chodziło o dopuszczenie kobiet do zawodu nauczycielskiego. Nauczyciele wszystkich sił dokładali, aby nie dopuścić do konkurencyi niewiast. Mieli oni wielu przyjaciół w parlamencie i sejmie. Na nic się jednak nie zdał ich upór. „Zwyciężyłyśmy i dziś, po latach dwudziestu pięciu, tworzymy silną armię, która sumiennie pracuje na niwie oświaty ludu.“ Prof. Albert twierdzi, że kobieta jest pod względem fizycznym słabą i dla tego wyklucza ją od sprawowania funkcyi lekarskich, a dopuściłby pragnął co najwyżej do wykonywania opieki nad chorymi i do akuszeryi, zapomina wszakże o tem, że te właśnie oba zawody większej siły fizycznej wymagają niż inne. Przeciw zatrudnianiu kobiet przy budowlach i robieniu cegieł, wtrąca dowcipnie p. Mussil, żaden jeszcze profesor nie napisał broszury i nie robił żadnych przedstawień rządowi, jakkolwiek ta praca jest faktycznie ciężka i pozbawia kobiety nietylko wdzięków, lecz i zdrowia. Gdy zaś chodzi o przypuszczenie kobiet do studyów, nie wymagających wszakże tak wielkiej siły fizycznej, jak przy robieniu cegieł, wówczas głos puszczyka ozwie się zaraz...

Wspomnieliśmy wyżej, że w obronie kobiet stanęli również mężczyźni, uczeni, profesorowie, między innymi także koledzy prof. Alberta. Posłuchajmy najpierw, co mówi rektor uniwersytetu wiedeńskiego, poseł dr. Antoni Mayer: Jestem za rozszerzeniem praw kobiety w ogólności, a już najkategoryczniej oświadczam się za przypuszczeniem ich do studyów wyższych. Kobiety lekarki są nam potrzebne choćby tylko ze względu na Bośnię i Hercegowinę. Niewątpliwie rząd będzie musiał wypowiedzieć w tej mierze słowo decydujące, gdyż pierwszym warunkiem rozwiązania tej kwestyi jest założenie państwowego, publicznego gimnazyum dla dziewcząt. Wtedy prze-

---

Andrzej Niemojewski.

PEŁNIA.

Był to prześliczny wieczór lipcowy. Chłopaszek mój leżał już w łóżeczku, a ja siedziałem przy otwartem oknie, przez które wbiegał do pokoju miły chłód, połączony z zapachem gwoździków i rezedy. Nad polami wschodził właśnie księżyc w pełni. Po chwili widniała już na niebie jego ogromna czerwona tarcza. Chłopaszek mój zaniepokoił się, spojrzał z zabobonną trwogą w okno na księżyc i przykucnął na łóżeczku.

— Tatuśku — szepnął cicho.

— Co malutki? — zapytałem.

— Czy tatusiek go widzi?

— Kogo?

— Tego — rzekł malec, pokazując ręką na niebo.

— To księżyc — odparłem.

— Jak on na nas dziwnie patrzy! Dlaczego on tak patrzy?

— To się tylko tak zdaje człopcze.

— Ale!... Patrzy, tatuśku, patrzy z nieba w okno tu do nas, aż mi się coś dzieje....

— Nie bój się — rzekłem. — Przecie wiesz już, co to jest księżyc.

— Wiem, tatuśku. Ale on tak patrzy, jak gdyby mu coś było...

— Nic mu nie jest. To przecież nie człowiek. Słońce z za ziemi rzuca na niego światłość, a on swą tarczę ku nam obraca.

— Ja to dobrze wiem, tatusiek mi to opowiadał. Ale mnie się tak dziwnie robi, jak on tak całą tarczę ku nam obraca.

— Dla czego malutki?

— Bo mnie się ciągle zdaje, że to twarz...

— To ci się przecież tylko tak zdaje.

— Ja wiem, że mi się tylko tak zdaje, ale cóż ja zrobię...

— Oho, już widzę, że ci Maryśka jakieś bajki musiała opowiadać!

— Tatuśku, nic, żadnych bajek mi nie opowiadała!

— Żadnych?

— Opowiadała mi tylko o Twardowskim.

— Więc jednak opowiadała!

— O Twardowskim to opowiadała. Wie tatusiek, o tym panu Twardowskim, co to siedzi na księżycu!

— No, to przecież nieprawda!

— Naturalnie, tatuśku, że nieprawda! To tylko tak sobie ludzie opowiadają! Ja to dobrze wiem! To takie śmieszne....

— Dlaczego śmieszne?

— Takie śmieszne, że aż strach! Bo czyż to podobne, żeby ktoś na księżycu siedział? Coby on tam robił, prawda? Nikt nie siedzi, to się tylko tak wydaje!

— Ale nie wydaje się wcale!

— Wydaje się, tatuśku! Wydaje... — Niech tatusiek patrzy: o, nos, oczy, usta, zupełnie jak twarz...

Mimowoli spojrzałem na księżyc. Istotnie, podobieństwo było tak łudzące, że trudno było zapanować nad wrażeniem.

Malec zachichotał i po chwili rzekł tajemniczo:

— Wie tatusiek co? Ja tatuśkowi powiem, że Maryśka jest bardzo głupia...

— Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

— Taka głupia, że doprawdy śmiać się trzeba...

— Eh, może tak źle nie jest!

— Głupia, tatuśku! — powtórzył malec, machając z przekonaniem ręką.

— Ale powiedz, dlaczego?

— A no z tym Twardowskim...

— Jakoś ci ten Twardowski z głowy wyjść nie może!

— Bo ona takie płupie rzeczy mówiła!

— To jej nie słuchaj.

— Ja też nie słuchałem.

— Połóż się i odwróć główkę do ściany.

— Dobrze, tatuśku.

Położył się, odwrócił do ściany, ale po chwili zaczął wzdychać.

— Co ci jest, mały? — zapytałem.

— Kiedy on, tatuśku i z tyłu na mnie patrzy...

— Kto taki?

— A ten księżyc!

— Zdaje ci się!

— O nie, nie zdaje mi się... To zawsze tak, tatuśku! Choćby się ktoś z tyłu patrzył, to się wie!

Za oknem zaczął wyć pies przeciągle. Malec zerwał się, usiadł na poduszce i ucha nadstawił.

— Słyszy tatusiek?

— Co takiego?

— Nie słyszy tatusiek?

— No, pies wyje.

— To nic, że wyje...

konamy się, czy i dla kobiet wskazane są i jakie zawody naukowe. Jak dotąd, działalność kobiet, gdziekolwiek się ujawniła, była zawsze, co najmniej dodatnią. Jak sumiennie i gorliwie np. pełnią kobiety służbę pocztową i telegraficzną! Mamy też w literaturze pierwszorzędne talenty niewieście. Zdaniem mojem okazują kobiety zdolność, zwłaszcza do dwóch fakultetów: medycznego i filozoficznego- W Ameryce musiano już dla nich otworzyć także wydział prawniczy. Sądzę, że i u nas kobiety zdobędą z czasem należne im prawa w całej rozciągłości.

Dr. Maksymilian Gruber, profesor medycyny na uniwersytecie wiedeńskim, wyraża się w tej sprawie krótko, ale stanowczo: „Nie widzę żadnego powodu — mówi — aby kobietom wzbraniać przystępu do studyów medycznych i wykonywania praktyki lekarskiej. Nie stworzyłoby to bowiem żadnych anormalnych stosunków. Zajmowałem się swego czasu tą sprawą gorąco i stwierdziłem, że działalność niewiast na polu medycyny jest ze wszech miar zadawalniającą. Przykładem godnym naśladowania w tej mierze jest Rosya, gdzie obecnie właśnie otwarto akademię dla studentek.“

Dr. Maurycy Benedikt odpowiedział Prof. Albertowi na zebraniu „Stowarzyszenia kobiet.“ Z przemówienia jego zacytujemy kilka charakterystycznych wyjątków. „Na pytanie, czy kobiety mogą się oddawać studyom lekarskim, dała już odpowiedź pierwsza niewiasta, która medycynę skończyła. Wielką wartość ma fakt pozytywny i jestem przekonany, że tylko obawa przed konkurencyą każe niektórym „powagom“ oświadczać się przeciw studyom kobiecym.“ Dr. Benedikt twierdzi dalej: „że tylko do chirurgii kobieta mogłaby się nie nadawać, gdyż jego zdaniem z natury swej łatwo ulega panice. Atoli jako lekarz sprawować będzie swój zawód z większą powagą moralną i z większem poczuciem delikatności, nie poświęci też wszystkiego — jak niejeden lekarz-mężczyzna, — tylko ambicyi. Lekarką utrzyma moralny porządek i wstydliwość u kobiet, a to najważniejsze. Mogą się uczyć. Całkiem na pewno! Swoją drogą nader mała liczba osięgnie cel zamierzony, gdyż natura niewieścia nie nadaje się do abstrakcyjnego myślenia, do walki o byt, a przyjęcie cięższej pracy przez mężczyznę, oznacza postęp kultury... Twierdzą niektórzy, że kobieta w historyi rozwoju ludzkości nic nie zdziałała. Jestem wprost przeciwnego zdania: we wszystkich religiach ona była motorem, a bez kobiet bylibyśmy dzis jeszcze pogrążeni w toniach pogaństwa. Sprawa kobieca jest kwestyą społeczną, a jeżeli nie ocenia się jej z należytą objektywnością, to przyczyna tego w tem leży, że nasze stosunki prawne są nienormalne, nienaturalne. Skoro kiedyś w społeczno prawnym porządku etyka zastąpi prawo, zdolne kobiety dopuszczone będą z pewnością do wszelkich studyów wyższych.“...

Wielką stanowczością odznaczają się poglądy profesora i posła do parlamentu dr. Wiktora Krausa. Twierdzi on całkiem otwarcie, że już z praktycznego punktu widzenia, głupotą jest oświadczać się przeciw wolności studuów kobiecych. Im smutniej układają się nasze stosunki społeczne, im mniej mamy widoków zabezpieczenia córkom naszym przyszłości, tem usilniej powinnismy się starać dać im kapitał, któregoby ich nikt nie był w stanie pozbawić.. Miałem aż nadto sposobności przekonania się np. w Zurychu, że studentki z zapałem garną się do studyów medycyny i wielkie rokują nadzieje. Ale i z tego powodu oświadczono się za przypuszczaniem ich do tych studyów, ponieważ pod względem wykształcenia płci żeńskiej w Austryi jesteśmy ogromnie w tyle za innemi państwami. Potrzebujemy dzielnych matek, któreby ostatecznie poczęły myśleć nad kwestyami społecznemi i w następstwie mogły stosowny wpływ wywierać na dzieci. Turek ma niezłe przysłowie: „Badam matkę a wybieram córkę.“ Co do mnie, w zupełności piszę się na to, by otworzyć kobietom na ścieżaj bramy uniwersytetów. Tłumienie tych poglądów i dążeń do niczego nie prowadzi. Kobiety mają wiele energii, by cele swoje osięgnąć.“

Znany poseł Engelbert Pernerstorfer zabrał w tej sprawie także głos poważny: „Jestem zwolennikiem zupełnej wolności studyów kobiecych i sądzę, że kobieta na każdem polu powinna być postawiona na równi z mężczyzną. Przedewszystkiem należy próbować, albowiem próba dopiero pokaże, czy kobieta potrafi tego dokonać, co mężczyzna, czy może nawet czegoś lepszego. Dziwi mnie, że profesorowie w guście d-ra Alberta zapatrują się na kwestyę studyów kobiecych za nadto ze stanowiska czysto fizyologicznych „przypuszczeń“. a w zupełności przytem zapominają o momentach historycznych... Naród czeski dał pierwszy (w Przedlitawii) impuls w praktyce do złamania tych zakrzepłych poglądów, przypominam tylko założenie gimnazyum żeńskiego „Minerwa“ w Pradze.... Jeżeli zaś Niemcy dzisiaj oświadczają się przeciw studyom kobiecym, to zdumiewać to tylko może, tem bardziej gdy inne narody szczepu germańskiego, jak anglicy, amerykanie, skandynawowie właśnie w kwestyi kobieeej w ogólności, a szczególnie w sprawie studyów kobiecych, daleko wyższe zajmują stanowisko i szersze obejmują horyzonty. Bez wątpienia średniowieczne te zapatrywania w Austryi i w Niemczech stoją w ścisłym związku z politycznemi stosunkami tych nieszczęśliwych krajów. Gnębienie duchowych kierunków, systematycznie przez władze tu i tam praktykowane, sprawia, że większa część ludzi, należących do klasy mieszczańsktej, nie mając w sobie ani siły ani ochoty do walki z tem gnębieniem, nie zajmuje też wobec tak ważnej doniosłe znaczenie mającej kwestyi kobiecej odpowiedniej, energicznej i stanowczej postawy.“

Broszura prof. Alberta wywołała powstanie małej literatury polemicznej w przedmiocie omawianym. Między innemi jeszcze o dwóch głosach wspomnieć wypada. Dyrektor gimnazyum żeńskiego dr. Emanuel Hannek punkt za punktem zbija zasadnemi

---

— Tylko co?

— Tatusiek nie wie?

— Nic nie wiem.

— To on tak do księżyca wyje! — zawołał malec z przeświadczeniem.

— Co ty opowiadasz! Gdzieby on tam wył do księżyca! Niebawem sprzykrzy mu się i pójdzie spać do budy.

— Nie pójdzie, tatuśku.

— Przekonasz się.

— Zobaczy tatusiek!

— Więc dlaczego nie pójdzie?

— Bo się księżyc i na niego patrzy!

Za parkanem w polu słychać było liczne, charakterystyczne ujadania. Malec zachichotał i szepnął, podciągając kołderkę:

— Tatusku...

— Co chłopcze?

— Niech tatusiek nie odchodzi. .

— Nie bój się, nie odejdę.

— Ta głupia Maryśka ..

— Cóż ci ona tam znowu naplotła?

— Jej, jaka ona głupia!

— No, powiedz, cóż takiego?

— Hi, hi, hi... Niech tatusiek sobie wyobrazi, ona mówiła, że ludzie po księżycu chodzą... A jakże to jest możebne, żeby ludzie po księżycu chodzili? Jakimby oni sposobem tam się dostali? Prawda?

— Naturalnie!

— Oni by spadli!

— Możeby i spadli!

— To też tak się co innego nazywa...

— Co się tak nazywa? — zapytałem patrząc w oczy malca.

— Ludzie po ziemi chodzą, a nie po księżycu! — zawołał głośno i wesoło, jak gdyby odkrył wielką prawdę, nagle jednak urwał, jak gdyby się płaczem zachłysnął.

— Tobie coś jest chłopcze? Zamknę okno, bo już zimno zaczyna iść do pokoju.

Malec drżał. Za oknem posłyszałem kroki stróża. Zawołałem na niego, aby zaryglował okiennice.

— Kładź się, chłopcze, i śpij — rzekłem do malca. — Widzisz już późno. Chciałbym odejść, bo mam robotę, a nie odejdę, dopóki na dobre nie uśniesz.

— Już śpię tatuśku! — zawołał chłopak i rzucił się na posłanie, zakrywając się kołderką.

Przymknął oczy i udawał śpiącego. Ale co chwila ruszał się i tem się zdradzał. Tymczasem stróż ryglował okienice. Wyszedłem do drugiego pokoju i powiedziałem mu, aby tylko w moim pokoju zostawił okno otwarte. Wróciłem i siadłem przy łóżku malca. Spał już naprawdę. Ujadanie psów znacznie przycichło z powodu zamknięcia okien i okienic. Ale zawsze jeszcze dochodziło. W pokoju było zupełnie ciemno, tylko przez szparę w okienicy wpadała maleńka smuga księżycowego światła. Było tak cicho, że słyszałem terkotanie zegarka w kieszeni. Chłopaszek mój spał spokojnie, jak gdyby wcale nie oddychał. Wysunąłem się ostrożnie za próg, przeszedłem przez salkę i siadłem w swoim gabinecie na otomanie.

Spojrzałem na przeciwległą ścianę. Światło księżyca wpadało przez otwarte okno i obrzucało sinym blaskiem prawą połowę twarzy wiszącego na tej ścianie fauna, który ze swym uśmiechem w tem trupiem oświetleniu wyglądał strasznie. Nie mógłem dłużej patrzeć...

Za oknem lekki wiatr poruszył liście na drzewach. Zdawało się, że to się ozwał przyciszony szept ludzkich głosów. Uniosłem się nieco, wyjrzałem przez okno i aż drgnąłem z wrażenia...

Jak gdybym był ujrzał na żywe oczy między trawnikami, na ścieżce, w świetle księżyca, sunące parami, nachylone, małe białe postacie... To były lilie

Roześmiałem się.

Spojrzałem na niebo. Było ono przeczyste. Drobniuchne gwiazdki migotały jak rozsypany pył śnieżny. Zwróciłem wzrok na księżyc. Utracił już swoją czerwoność i świecił teraz światłem wypolerowanego mosiądzu. Granica jego tarczy ostro odcinała się na niebie. Dwie plamy kraterów były łudząco do oczodołów podobne. Nad temi plami szły liczne bruzdy, świeciły rysy dawnych kataklizmów. Rysy te zbiegały po policzkach i krzyżowały się koło ust, których wargi podobne były do dwóch wałów górskich. Cała ta twarz, niby twarz skostniałego w cierpieniu człowieka, patrzyła na mnie z okropnym spokojem. Była to twarz straszna, a obojętna. Przerażająco jasna i przerażająco chłodna. Przymrużyłem oczy, bo czułem budzący się we mnie niepokój, który się wzmagał i za chwilę mógł się był stać nawet przykrym. Wiatr znowu poruszył drzewami. W jego szeleście tworzyła fantazya szepty, narady, skradanie się, szmer ocierającego się o ścianę ubrania lub rąk, sunących po murze. Na chwilę usnąłem. Przywidział mi się prześliczny dzień letni. Mój chłopaszek ugania po trawnikach za motylkami. Nagle staje, wskazuje ręką ku górze i powiada: „Widzisz. tatuśku, noc

argumentami wywody d-ra Alberta i na swych uczennicach gimnazyalnych wykazuje, że czynią lepsze postępy od chłopców. Wreszcie lekarz wiedeński dr. Swetlin w osobnej broszurze nie kryje się wprawdzie z obawą przed konkurencyą niewiast lekarek przemawia jednak mimo to gorąco za najzupełniejszą wolnością studyów kobiecych i pod tym ostatnim względem idzie znacznie dalej niż inni, żąda bowiem otwarcia dla niewiast wszystkich fakultetów, wszystkich gałęzi wiedzy bez wyjątku, ale — odrazu. Niebezpieczną jest rzeczą — mówi dr. Svetlin — otwierać dla kobiet wydziały lekarskie, bo cóż poczną te z nich, które ukończywszy gimnazyum, dojdą do przekonania, że do studyów medycznych się nie nadają? Praca ich poszłaby na marne. Dla tego należy „dać kobietom wolność studyów jaknajzupełniejszą.“

Z powyższego, pobieżnego przeglądu protestów, jakie broszura d-ra Alberta wywołała, przekonać się można, że reakcyjne zapatrywania na kwestyę kobiecą nawet w Austryi są odosobnione i wśród ludzi inteligentnych zwolenników liczą bardzo niewielu.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Pod adresem Koła polskiego w Berlinie. „Przegląd Wszechpolski“ zamieścił w najświeższym numerze nader interesujący artykuł, z którego cytujemy ustępy następujące:

„Gdyby Koło Polskie w Berlinie nie przyznawało sobie samowolnie zwierzchnictwa niejako nad całą dzielnicą, sięgnęłoby zdawna po siły nowe, młode duchem, odradzające cherlawy i zużyty w politycznem samolubstwie jego organizm. Ale nie, krokami wręcz przeciwnemi dowodzi ono coraz silniej, że niczego już od niego spodziewać się nie można. Stało się partyą klasową, koteryą i pozbawiło się dobrowolnie względów, jakie każdej reprezentacyi narodowej, choćby błądzącej, przynależą.

W podobnych warunkach największym błędem krystalizującej się opozycyi byłoby stosowanie do rozkładowych pierwiastków panujących takiej właśnie taktyki, jaką te z tak marnym skutkiem wobec systemu pruskiego praktykują. W obu wypadkach nie jest to kwestya taktyki, ale zasadniczego stanowiska, nie wyżebrania ustępstw, ale zmuszenia do cofnięcia się wobec następującej z niewzruszoną systematycznością społecznej i moralnej siły.

Właściwy program polityczny w walce z nawałą pruską zredukowano u nas niemal do wskazań taktycznych. Jakiegokolwiek planu ogólnego kampanii narodowej, zarówno wewnętrznej, do własnego społeczeństwa zwróconej, jak i zewnętrznej, naprożno od lat wielu wyglądamy i taktyka ugodowa ma go zastąpić. ...Rząd pruski dążeń naszych, ani pragnień podzielać nie może, dobrowolnie nic nam nie da, to pewna, ale możemy zmusić naród niemiecki do tego, żeby nie lekceważył naszych praw i aspiracyi, żeby widząc w nas nawet wrogów, szanował nas tak, jak się godnych siebie przeciwników szanuje, żeby czuł w nas tę siłę charakteru, którą sam niezaprzeczenie posiada. Wtedy zyskamy od razu przewagę moralną, przewagę cywilizacyjnych naszych dążeń nad średniowieczną, napoły azyatycką, junkierską duszą Prusaków.

Koło wręcz odwrotne zajęło stanowisko: wmawia w rząd pruski mniemany jego interes w wymierzeniu sprawiedliwości Polakom, od lat całych licytuje samo *in minus* swoją polityczną ofertę, a równocześnie zdradza taki brak charakteru, tak nizki poziom godności narodowej, tak słabe tętno ogólno- ludzkich cywilizacyjnych dążeń, że w narodzie niemieckim szacunku nawet dla słusznej sprawy wzbudzić nie jest wstanie. Na tak przygotowanym gruncie żaden program rozwinąć się nie może.

Czyż można rzeczywiście wymagać od Niemców, aby brali w jakąkolwiek polityczną rachubę Koło Polskie, o którem wiedzą doskonale, że nietylko nie stoi za niem cały naród, od którego się dobrowolnie odcięło, ale nawet własne warstwy ludowe, których interesy i potrzeby sprowadziło do swego własnego minimum. Że takie a nie inne zajęło stanowisko, za to wyłączna odpowiedzialność na nie spada, ale że w podobnych warunkach niczego dokonać nie jest w stanie, z tego już zarzutu robić mu nie można.

Od dawna, od bardzo już dawna nie słyszeliśmy w parlamencie takiego głosu polskiego, którby wstrząsnął duszą, duszą narodu, któryby powtarzano nad Wisłą, nad Niemnem i Dniestrem, jako wyraz tego, co wszyscy czują, a czego wszyscy wypowiedzieć nie mogą, któryby się odezwał w najdalszych zakątkach siedzib polskich śród niemczyzny. A takiego echa czujniej w parlamentach słuchają, niż potwierdzeń traktatów rozbiorowych. Rząd nie dla tego odrzucił tę wyciąganą rękę zgody, z dłonią do góry zwróconą, żeby nie dowierzał szczerości oferty, ale dla tego, iż wiedział dobrze, że za nią masy ludu nie stoją i nigdy nie staną...

Fałszywem z gruntu byłoby stanowisko Polaków zasadniczo opozycyjne wobec całych Niemiec i ich zjednoczonego państwa: stanowczym i bezwzględnym wrogiem naszym są tylko Prusy, z właściwym ich charakterowi systemem, od którego brutalności cierpią całe rdzenne Niemcy, ich cywilizacya, ich wolność i tradycye. Zadaniem Polaków, obywateli państwa niemieckiego, jest wystawienie wyraźne i głośne programy rozszerzenia autonomii i samorządu państw niegdyś zwierzchniczych, oraz stopniowego wprowadzania Niemiec na drogę federalizmu. Hasła te Polacy z większą śmiałością, z większą stanowczością rzucać mogą z trybuny w masy niemieckiego ludu, bo płyną one z ich narodowych instynktów i tradycyi, z mózgów nieolśnionych Sedanami i Bismarkiem, ale mocno przeświadczonych o tem, że służyć tu będą sprawie cywilizacyi europejskiej, przeszłości Niemiec i swej własnej zarazem. Sprzymierzeńców naturalnych na tem polu nie zabraknie, co ważniejsza będzie ich coraz więcej: południowo-niemieckie stronnictwo ludowe jest nową wzrastającą siłą, która ogarniać będzie coraz dalsze kręgi lokalnego życia prowincyi, dławionych przez centralizm pruski. Równocześnie prowadzona walka o postęp i cywilizacyę, o prawa klas pracujących, słowem o idee raczej, niż o interesy, zapewni nam wpływ i posłuch oraz stanowisko poczesne śród stronnictw niemieckich. Dobijać się praw dla ludności polskiej, a zarazem wzmacniać konserwatyzm niemiecki i reakcyę rządową, jest to polityka, zmierzająca pewnym krokiem do narażenia sobie wszystkich, a szczególniej najzdrowszych, najlepszych żywiołów, w Niemczech....

Zły przykład idzie z góry. Brak wszelkiej odwagi cywilnej śród przedstawicielstwa parlamentarnego sparaliżował umysły i wolę. Zbyt przywykło społeczeństwo uważać je za konwencyonalny wyraz swych dążeń, dostroiło się do jego poziomu i obniżyło charakter całej dzielnicy. Sumiennie powiedzieć można, że Koło tytularnych wybrańców politycznych nietylko w niczem nie podniosło żywotności narodowej ogółu, nie przyczyniło się do rozbudzenia świadomej, uplanowanej akcyi samego społeczeństwa, ale podcięło mu skrzydła, oderwało duszę, zwyrodziło charakter.

W naszem położeniu codziennej, nieustannej walki o byt narodowy, ten tylko powinien piastować godność politycznego przedstawiciela, kto rzeczywiście przoduje społeczeństwu w walce pozaparlamentarnej, kto sam przyczynił się do wydobycia z uśpienia tej siły, którą ma reprezentować. Każdy poseł polski powinien być agitatorem w walce narodowej, organizatorem sił społecznych, bojownikiem praw ludu, ale nie figurantem, nie dyplomatycznym agentem do stronniczych konszachtów. Nie mówiąc już o faktach skandalicznych, jak stawianie kandydatur ludzi, składających równocześnie oferty komisyi kolonizacyjnej, jak może wogóle kierować sprawami narodowemi człowiek, który nic dla tych spraw nie zrobił, nic nie dał społeczeństwu, ale tylko zgodził się być narzędziem w ręku kół panujących. Ze strony ostatnich jest to pozowanie na jakiś rząd „*in partibus infidelium*“, który rekrutuje sobie podwładne organy, mające służyć jego własnym, a nie ogólnym interesom. Taki rząd tylko w państwach i to w państwach autokratycznych utrzymać się może, bo ma za sobą, w braku siły poparcia, siłę przemocy. Ale tu panowanie podobne tylko biernością ogółu da się wytłomaczyć. Rozbudzenie samodzielnej akcyi społeczeństwa, wprowadzenie w stan czynny mas ludowych położy kres temu samoprzedstawicielstwu i wysunie na czoło narodu tych, co rzeczywiście przodować będą w jego życiu“.

* * *

Gazeta ludowa dla polskich ewangelików. Warszawski tygodnik „Głos“ poświęca następujące uwagi gazecie wydawanej w Ełku na Mazurach dla Polaków ewangelickiego wyznania.

„Od Nowego Roku zaczął wydawać w Ełku „Gazetę ludową“ p. Bahrke, który przez czas jakiś mieszkał w Warszawie. Gazeta, prowadzona bardzo zręcznie i ostrożnie, zamieszcza nawet niekiedy artykuły w duchu patryotyczno-pruskim, ale gorliwie i wytrwale broni praw narodowych ludności, powoli uświadamia politycznie lud mazurski. Pomimo zachowywania niezwykłej ostrożności, niejednokrotnie naraził się już p. Bahrke władzy i Niemcom, którzy zawzięcie prześladują Gazetę. Naprzód wezwano redaktora do policyi, gdzie go wypytywano: czy jest Polakiem, czy przebywał w Rosyi i czy stamtąd otrzymał pieniądze na wydawanie pisma. Następnie konsystorz ewangelicki wytoczył proces „Gazecie ludowej o rzekomą obrazę, a na zjeździe pastorów potępiono pismo. Te jednak prześladowania wykazały, że lud mazurski przywiązał się odrazu do swego pisma i że rozumie jego znaczenie. Listy czytelników świadczą, że solidaryzują się oni z Gazetą. Ciekawe są niezmiernie te listy, których wzorowo czysty i piękny język przypomina starą polszczyznę z XVI wieku, a treść wyraża taką świadomość narodową, jakiej nikt może nie przypuszczał

---

dokoła, a wysoko na niebie świeci słońce!“ Istotnie pociemniało od razu na okół, a na nocnem niebie świeciło przeraźliwie i oślepiająco słońce. To niemożebne, zawołałem sam do siebie i koniecznie chciałem się zbudzić. Ale nie mógłem żadnym sposobem oczu otworzyć. Zdawało mi się, że nie śpię, tylko mam oczy zamknięte. Na to chłopaczek mój podbiegł ku mnie, ujął mnie za rękę i rzekł z uśmiechem: „Zbudź się, tatuśku! Widzisz, jakie się to dziwne rzeczy dzieją?“ Ale jak gdyby mi ktoś pozaklejał powieki, ani rusz ich rozerwać. Pies tymczasem za oknem ujada jak do księżyca i czuję, że jest noc. Nagle przejmuje mnie nieopisany strach. Zimny pot występuje na czoło, a mrowie przebiega od stóp do głowy. Otwieram oczy i nareszcie budzę się.

— Co to takiego? Jezus Marya!

Na środku pokoju, oświetlony blaskami księżyca, stoi w koszulince mój chłopaszek, blady, oczy błędne, rozchylone usta, rączyny przed siebie wyciągnięte... Lunatyk, czy co?...

Pochwyciłem go na ręce i pobiegłem z nim do jego pokoju. On się zbudził, uczepił mej szyi i szeptał na wpół przytomnie:

— Co to, tatuśku, co to?

Położyłem go do łóżeczka, przytuliłem obok niego głowę na poduszce i wnet usnęliśmy obaj.

Obecnie „Gazeta ludowa“, chociaż jest pismem prawowierno-ewangelickiem, prowadzi już jawną walkę z pastorami. Ma ona silną broń w ręku, bo wprowadzenie niemczyzny do kościoła wywarło ten skutek, że ludność odstrychnęła się od niego. Rozmaite sekty, głównie baptyzm, zyskują coraz więcej zwolenników wśród Mazurów i jeżeli uwzględnią w należytej mierze język polski, będą mogły pozbawić pastorów znacznej części trzody“.

* * *

Prądy polityczne w Poznańskiem. Korespondent poznański „Słowa polskiego“ (Lwów) tak ocenia stosunki nasze:

„W ostatnich tygodniach rozgrywała się znowu jedna z typowych scen naszej polityki wewnętrznej, w której od lat kilku ścierają się ostre hasła demokratycznego stronnictwa z doktryną ugody. Mówię o wyborach uzupełniających w świeckim okręgu, o mowach przedwyborczych kandydata koteryi „ładu i porządku“, p. Sasa Jaworskiego i interpelacyach przedstawicieli opozycyjnych prądów. Polemika z areny wieców przeniosła się do szpalt dziennikarskich i ujawniła w całej nagości polityczne kontrasty, wrzynające się coraz głębiej w organizm społeczeństwa. Pan Sas Jaworski, zdeklarowany zwolennik awanturniczych eksperymentów ugodowej dyplomacyi, znajdował się w dość niemiłem położeniu wobec wyborców, przejętych w mniejszym, lub większym stopniu ideą demokratycznej opozycyi. Otwarte wyznanie własnych przekonań politycznych znaczyło tyle, co niechybna klęska, — chwycił się tedy ulubionej metody stronnictwa swojego i przedstawił się wyborcom w obłocznych zasłonach patryotycznych ogólników i Pithyjskich rebusów.

Na zapytanie, któremu panu służyć będzie, której zasadzie politycznej hołduje, brzmiała odpowiedź kandydata: „Polityka moja będzie polska!“ a później w dziennikach przyciśnięty do muru, oświadczył, że stronnictw żadnych nie uznaje i pójdzie tam gdzie większość Koła polskiego. Znaczna część wyborców czuła doskonale, że kandydat stara się usilnie zamaskować istotne przekonania swoje, — większość jednak poszła na lep frazesu, — no! i przeważnych świeckich i duchownych inspiracyi, i o rzykuła p. Sasa Jaworskiego zwycięzca.

Zdaje mi się jednak, że wszystkie te zwycięztwa wielkiej. ugodowo klerykalnej koteryi są jak ostatnie błyski gasnącej lampy. Coś w masie ludu kotłuje, coś szeptem idzie przez tłumy i społeczeństwo coraz podejrzliwszem okiem spogląda ku tym wyżynom, które kierowały i dotychczas kierują jeszcze polityką narodu. Charakterystycznym jest nagły i niespodziewany zwrot „Dziennika poznańskiego“ ku lewicy, — charakterystycznym fakt, że organ, który przez długie lata w intencyach naszej kościelnej polityki uparcie używał puklerz polskości, drgnął nagle niespokojnie w witaszyckiej sprawie (kolizya księdza Polaka z niemieckim nauczycielem wiejskim) wymówił słowo: germanizacya przez kościół. — Groźne to widmo jest obecnie na porządku dziennym polityki naszej. Ludzie przecierają oczy, spoglądają na Szląsk, na Prusy zachodnie i Warmię, i przeczuwają, że walka duchowieństwa z ludem, która się tam obecnie rozgrywa, może z czasem i naszą prowincyę napełnić wrzawą wojenną. Ks. arcybiskup Stablewski, ten dzielny obrońca sprawy narodowej w Sejmie pruskim i parlamencie niemieckim, jest może dobrym patryotą, lecz w polityce kościelnej zjawia się niekiedy taka *vis maior*, że najlepszy ksiądz — patryota musi przed nią czoło uchylić“.

—ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Kilka słów

z powodu

„Żalów krytyka“.

Korzystając z gościnności „Przeglądu Poznańskiego“ dla osobistych zapatrywań na poruszane w jego łamach kwestye, ośmielam się podzielić z czytelnikiem uwagami, które nasunął mi interesujący artykuł pana W. Z. Gryfa p. t. „Żale krytyka“. Zarzuty czynione młodej generacyi pisarzy i lamenty nie poparte konkretnemi danemi nie są niezwykłą rzeczą. Nie ulega wszakżeż wątpliwości, że autor stan najnowszej literatury maluje trafnie. Niedawno znalazłem w artykule dr. J. Suessera ten sam pogląd, ujęty w słowa: „brak filozoficznego poglądu na świat i ludzi, brak łączności z najwybitniejszemi prądami przenikającemi ludzkość, sztuczność uczucia — oto główne cechy naszej literatury“. Atoli skonstatowawszy ten fakt, p. S. nie rzucił kamieniem na młodych publicystów. Naturalnie poniekąd miałby powód rozżalić się na tego lub owego, bo przypuszczam, że w gronie literatów są tacy, dla których sztuka nie jest niczem innem jak „handelkiem“. Na wzór słów Heinego: „Das Publicum sind viele Leut, drum ist es dumm und auch gescheut“ — da się powiedzieć o gronie literatów z wielu różnych złożonego jednostek, że mieści w swem łonie tandeciarzy, co wszakże nie wyklucza, aby byli i tacy, którzy „mozolnie wychowują dziecię i układają je co wieczór nasycone mlekiem“. Nie dziwi mnie, ani nie oburza, że liczba napiętnowanych filisterstwem pisarzy przewyższa ilość wybranych dusz, bo nie inaczej mają się rzeczy na całym świecie. Zamiast zatem rozbijać sobie głowę o mur, przyjmuję ten stan za normalny. Tem mniej jestem skłonny do lamentów, że ta kategorya, składająca się z jednostek bez istotnego talentu i powołania, nie wywiera wpływu na literaturę i nie stanowi literatury. Nie jest ona miłą memu sercu, lecz bynajmniej nie chciałbym zgładzić jej z świata jak p. Gryf, który widocznie chciałby zaprowadzić jakiś idealny stan rzeczy, gdzie li tylko najczystsze krople sztuki spadałyby na spragnioną ożywczego deszczu ziemię. Przeciwnie, jaknajwięcej życzę sobie w Polsce tej „tandety“, bo z jej rozkwitu powezmę przekonanie, że książka zaczyna być tak potrzebną jak piwo lub wint. Istnieje już dziś dość znaczny popyt na ową „tandetę“ literacką, lecz niestety dostarczają go po wielkiej części zagraniczni pisarze. Z artykułu p. J. Lorentowicza w „Przeglądzie Tygodniowym“ dowiaduję się, że tłomaczone (a jak tłomaczone?) powieści stanowią 40 procent ogółu naszych powieściowych utworów. A zatem wielka potrzeba nam swojskich wyrobników literackich, tem więcej, że dostarczyliby pożyteczniejszej dla niższych warstw lektury, nie odrywając ich od rodzinnej sfery, ani nie odżywiając umysłów polskich płodami, przesiąkłemi obcemi nam pojęciami, tendencyami i ideałami społecznemi. Z łona tego proletaryatu, zapełniającego lukę w piśmiennictwie krajowem, wyszedłby zresztą niejeden pisarz z literackiemi właściwościami pióra. Czy kto zaprzeczy racyi bytu n. p. Janowi Kubiczowi, z którego działalnością zapoznał Czytelników „Przeglądu“ p. Fr. Rawita? Literatura bez takiego proletaryatu rozwijać się musi nieprawidłowo, tak jak społeczność bez stanu mieszczańskiego. „Łatwa“ literatura jest koniecznie potrzebną dla umysłów nie zdolnych przetrawić trudnej. Czy bowiem panny służące mają czytywać „Nieboską komedyę“? Ależ to byłoby strasznem!

P. Gryf utyskuje bardzo, że w literackie progi wdziera się tylu kurtyzanów, aferzystów, fanfaronów i grafomanów. Dziwiło by mnie, aby w istocie liczba tychże musiała być znacznie większą niż w innych zawodach, bo literatura jako „afera“ jest przecież możliwie najgorszym interesem, a nie mam ludzi za takich idyotów, aby sądzić, że dla tego poświęcali się literaturze, że panna Marynia lub Józia ma słabość do ludzi, którzy „byli drukowani.“ Jeżeli jednak świat literacki roi się od istot, którym można insynuować cały stek wyliczanych przez p. Gryfa małostek, to jestto raczej chorobą społeczną, która nie objawia się specyalnie na niwie sztuki. Godzę się wszakże zupełnie, że „na palcach moglibyśmy policzyć naszych zdeterminowanych Kurcyuszów“, którzy znają „przyjemności ryzyka“. I mnie niejednokrotnie raziła niemile owa nieznana w innych literaturach trwożliwość, ów brak indywidualności, które literaturę polską znaczą piętnem niewolniczości. Niewola, pod którą jęczy większa część ziem polskich, dosadnio odzwierciadla się w ruchu umysłowym. Jednakże nie mogę zwalić winy za to na młodszą generacyę pisarzy; dałoby się jedynie wywnioskować na ich niekorzyść, że mało między nimi wielkich talentów, bo wielki talent jest z swej natury odważnym. Zważywszy zaś warunki, w jakich znajduje się literatura w Polsce, wina pisarzy spada do minimum.

Nie wspominając o cenzurze, która w najgłówniejszem ognisku literackiem przytłacza do ziemi piśmiennictwo, wskażę tylko na to, że w ostatnich latach ojcami chrzestnymi nie są wydawcy, lecz przeważnie redaktorowie pism. Co to znaczy przejść przez ręce redaktorskie, to p. Gryf może wiedzieć lepiej odemnie. Nepotyzm i stronniczość panujące w gronie redaktorów napiętnowano wielokrotnie. A zatem człowiek, który napisał powieść, musiał pracę swą stworzyć nie dla siebie, nie dla ogółu, lecz dla pana redaktora, dla koteryi. Pisarz uznany, którego imię w felietonie jest przyjętą na abonentów, posiada dopiero prawo dopuszczania się pewnych licencyi, które u nieznanego pisarza nazwanoby niemoralnemi, trywialnemi itd. Oni muszą przykroić sukienkę według modelu redakcyjnego. A czy p. Gryf zajrzał tak głęboko w tajniki dusz tworzących literatów, że może twierdzić, iż oni nigdy nie pragnęli wypowiedzieć siebie śmiało i bezwzględnie? Otóż mam to przekonanie, że pod grozą konieczności niejeden autor z bólem serca wykreślał ustęp swej pracy, któryby rzecz całą był podniósł na wyższy szczebel, lub przerabiał go według zwyczajnej mody. Jak powiedzieliśmy, prace młodych literatów wykazują brak samoistności i śmiałości poglądów, lecz jakie one mają być, kiedy przejść musiały przez cenzurę często absolutnie niezdolnych ocenić pracę redaktorów. A oni to piastują dziś powieść polską, gdyż mało wychodzi drukiem romansów i nowel, które by poprzednio nie ukazały się w odcinku pisma. W oczach wydawcy niezawodnie poleca to pracę nieznanego autora. W tem leży wielkie zło. Czegoż to wymaga redaktor od pracy? Aby najmniej dostarczała pola do nieprzychylnej krytyki i do krytyki wogóle, innemi słowy wymaga — dobrej roboty, przyzwoicie ubranej, poczytnej a poziomej miernoty.

Po za plecami redaktora zaś kryje się ogół. Każdy kraj ma taką literaturę jaką mieć pragnie i na jaką zasługuje. Jeżeli literatura nasza w ujemnem przedstawia się świetle, to odpowiedzialną za to jest ostatecznie społeczność. Pomiędzy młodymi można spotkać także utalentowanych pisarzy, którzy jednakże nie mają ani pola, ani atmosfery odpowiedniej, ani wreszcie najmniejszej z strony ogółu lub redakcyi zachęty. Prócz redaktorów bowiem cały ogół boi się, jak złego ducha wszelkich „filozoficznych poglądów na świat“, stroni od wszelkiej „łączności z wybitniejszemi prądami przenikającemi ludzkość“ i wprost protegnje „sztuczność uczucia“. Gdyby publiczność jak n. p. w Anglii sprzyjała nowym prądom, cieszyła się widokiem świeżych latorośli, ceniła indywidualność i szukała jej w pismach — to

redaktorowie połamaliby dawne łokcie krytyczno-koteryjne, ujrzelibyśmy silniej zaakcentowane i śmielej strzelające indywidualności i literatura wydobyłaby się z pod tego przygnębienia, rozkwitłaby bujnie. Dziś ona marnie wegetuje....

Pan Gryf przemawia często tak, jakby literatura była jakimś rajem, do którego pnie się kto żyw.

Z tego co czytam i słyszę, powziąłem przekonanie, że daleko lepiej w Polsce tłuc kamienie na żwirówce niż być literatem. Czy istotnie jest ona najdogodniejszą formą używania? Czy jest tak dobrym środkiem ułatwiającym robienie karyery, najkrótszą drogą do rozgłosu? Pragnąłbym, aby mi kto wymienił kilka nazwisk tak sądzących literatów i takich, którzy na tej drodze odrazu zrobili karyerę i zdobyli rozgłos. Nie mogę bowiem pojąć, aby człowiek oddający się literaturze nie miał przyjść prędzej, czy później do odmiennego pojęcia. Jest faktem, że w literaturze daleko trudniej okryć się sławą niż np. w muzyce lub w sztuce plastycznej, zwłaszcza gdy pisarz nie jest synem Francyi lecz „zapomnianego narodu“. Zresztą wszyscy wielcy autorzy, jak Tołstoj, Ibsen, Zola, Ruskin lub Sienkiewicz dopiero w późniejszym wieku doszli do znaczenia. O początkujących autorach zaś ogół nic nie wie zupełnie, ani wiedzieć nie chce. Gdzież więc ów raj? Czy redaktorowie tak świetnie wynagradzają pracę? Czy ogół ich tak faworyzuje?

P. Gryf oczekuje, aby młodzi pracownicy na niwie literackiej „gromadnie zajęci byli urzeczywistnieniem jakiegoś wspólnie opracowanego ideału artystycznego.“ Czy innemi słowy literaci mają wprzód naradzić się wspólnie i wytknąć sobie pewien z góry obmyślany ideał artystyczny a potem brać w ręce pióra? Czy mają założyć spółkę w celu eksploatacyi idei społecznej? Eksperyment taki byłby chybionym, bo musiałby się zacząć od bankructwa duchowego spólników. Jedynym wypadkiem podobnym był związek kilku francuzkich realistów pod laską Zoli, a jedynym jego owocem „Soirées de Medun“. Lecz spółka się rozbiła naturalnym biegiem rzeczy; Maupassant i Huysmans poszli odrębnemi drogami. Nie mogło być inaczej. Ideałów artystycznych nie potrzeba opracowywać; one tkwią w prądzie przenikającym społeczeństwo, lecz należy je odczuć, jeżeli autor ma dotrzymać kroku postępowi i ucieleśnić je zgodnie z sobą. Pisarze nie grupują się sami, lecz grupuje ich traf i historya literatury. Pomijam tu dekadentów francuzkich, gdyż składają się oni z wyrobników literackich, a poeci jak Beaudelaire lub Verlaine postępowali swą drogą samopas, nadając naśladowcom kamerton, lecz nie troszcząc się o uradzone w kawiarni formułki. Zresztą nawet to grono drugorzędnych artystów rozbiło się na rozliczne cząstki: na instrumentalistów, neo-katolików, symbolistów i innych „istów“, którzy wsławili się na przeciąg jednego wieczoru.

Żadną miarą nie podobno się zgodzić na zdanie, że „kopalnie pomysłów niezużytych i tematów świeżych zostały prawie wyczerpane do dna“, że nie ukazują się dziś na powierzchni życia społecznego rozmaite kwestye bardzo żywotne“, że wreszcie nasi wielcy powieściopisarze dla tego zwrócili się do epok ubiśnionych, bo „doświadczenie, chociażby największe, prędko się wyczerpuje“.

Podejmując najprzód ten ostatni punkt wyznać muszę, że zwrot kilku naszych powieściopisarzy ku tematom historycznym przypisuję powodzeniu Sienkiewiczowskiej trylogii i wynikłemu ztąd rozmiłowaniu się czytającej publiczności w romansach z dawnych czasów, a nie wyczerpaniu się doświadczenia tychże autorów. Pod doświadczeniem nie rozumie zapewne p. G. sumy popełnionych w życiu błędów, lecz owe rzeczywiste doświadczenie, które dwudziestoletni człowiek posiadać może w daleko wyższym stopniu od ośmiedziesiątletniego starca — ów życiowy instynkt, który kieruje ludzkiemi krokami. Ten instynkt, ta pełnia życia, jest bardzo cenną dla powieściopisarza, bo zawiera w sobie całą siłę twórczą, lecz dla tego właśnie przymiera, zanika tylko z obniżeniem się tej pełni życia. A zatem doświadczenia ma autor tyle, ile ma życia. Pisarz historyczny tak samo jak współczesny posługuje się swem doświadczeniem osobistem. Wprawdzie Prus nie widział na oczy starożytnych Egipcyan ani pomiędzy nimi nie żył, lecz widział ich oczyma swej duszy i żył między nimi, dzięki swej intuicyi i sile twórczej. Nie potrzeba być na śmierć skazanym, aby doskonale uprzytomnić ostatnie chwile skazańca. Sienkiewicz właśnie tyle zdobył doświadczenia na dworze Nerona ile autor X. w więzieniu. Istotne zdarzenie, opisane w powieści, może się wydać zupełnie nieprawdziwem a nawet nieprawdopodobnem, a zupełnie fikcyjna scena realną, bo nie chodzi o to, aby autor doświadczył czegoś na sobie, lecz by umiał dzięki pełni życia czy sile twórczej wcielić się w tę scenę i przejąć nią. Twórczość artystyczna jest jedna, jedyna; koncepcya Petroniusza rodzi się w głowie autora w absolutnie identyczny sposób, jak np. kucharki Małgorzaty, którą widujemy od dzieciństwa.

Gdy mowa o doświadczeniach, nieodzownie staje przed oczyma Zola. A jego karyera dowodzi, że doświadczenie jest niewyczerpalnem, gdyż nawet autor, który podejmuje przed napisaniem powieści studya, źrodeł tych ma więcej, niż zużytkować jest w możności. Zresztą, pomimo, że Zola doświadczał sam życia w kopalniach, nikt nie powie, że to źródło wyczerpał. Czy autor posługuje się dokumentami ludzkiemi, czy archiwami, jest zupełnie obojętną rzeczą. — Prawda w powieści jest kwestyą ustroju duchowego, kwestyą siły twórczej, „kwestyą stylu“.

Nie lękam się wcale, aby kiedykolwiek kopalnie pomysłów miały się wyczerpać. Gdyby to mogło nastąpić, to z pewnością dawno już nie byłoby powieści. Ściśle biorąc, tematów niezużytych wcale nie ma! wszystko już było. Lecz kopalnia pomysłów to nie mina złota, z której tylko pewną ilość kruszczu da się wydobyć; jest ona tak wielką, bogatą i nieskończoną, jak życie, przetwarzające się w coraz to inne formy. Idąc dalej, istnieje jeden tylko temat — życie, zawsze to samo, a zawsze inne. Stare pomysły przeto będą zawsze nowe, bo *„si duo faciunt idem non est idem“*, bo opracowała je jednostka i umysł, jaki dotąd nie istniał. A oko pewnego pisarza nietylko eo ipso widzi rzecz pewną inaczej, lecz musi widzieć inaczej, bo ona, nie zmieniając się chociażby wcale, stoi dziś w innej proporcyi do otoczenia jak jutro i inną odgrywa rolę w różnych epokach cywilizacyjnych. Gdy p. Gryf radzi autorom zawiesić pióra na kółku i „poczekać trochę, zanim nowe zboża dojrzeją“, to wygląda to tak, jakby kazał ustać życiu na pewien czas. Tymczasem gdy zboże nie dojrzało jeszcze, autorowie piszą poprostu o niedojrzałem, a byle tylko umieli pisać dobrze, to spełnią swą powinność.

Nawet na brak „kwestyi“ uskarża się p. Gryf, a zaiste dostrzegam ich tyle, że aż mnie mrówie przechodzi. Sądziłbym, że czem życie staje się więcej skomplikowanem, tem więcej kwestyi wyrasta jak grzybów po deszczu. Lecz dość wskazać na wdzięczną dla nowelisty a jak ocean głęboką kwestyę emancypacyi kobiet, która nie mniej w Polsce „roznamiętnia“ umysły. Jeżeli autorowie dotykają tej materyi trwożliwie, lub nie poruszają wcale, to tłomaczy się tem, że owe „kwestye“ są dla ogółu „strachami“, przed któremi dzieci kryją się pod fartuch matczyny.

Z prawdziwą przyjemnością wyczytuję właśnie w wyżej wspomnianym artykule pana I. Lorentowicza, że znany redaktor „Prawdy“ w tym samym duchu rozstrzyga pytanie, kto zawinił: autorowie czy wydawcy, twierdząc, że „najmizerniejsza trawka“ ma prawo bytu, a bezstronny krytyk powinien „zająć stanowisko przyrodnika! zamiast ganić i chwalić — określać i tłomaczyć“. Tymczasem nasi krytycy najczęściej wychodzą z fałszywego stanowiska; zamiast zajmować się tem, co autor daje, troszczą się raczej o to, czego nie daje. A robi to wrażenie, jakby krytyk zamawiał sobie powieść autora, a potem wymyślał mu, że tę parę butów odrobił nie według jego gustu, że mu za ciasne lub za wielkie. Aby ocenić pisarza właściwie, trzeba stanąć na jego stanowisku, a nie na własnem; to każdy filister potrafi. Pewien wybitny essayista angielski, Tomasz Wainewight, za jedyne zadanie krytyka uważa zastanowienie się, czy dane dzieło sztuki jest w zgodzie z prawami, które dadzą się z tegoż wyprowadzić, bo — jak powiedział pewien francuzki pisarz — „każdy człowiek formuje teoryę swego talentu“. Ta nasza krytyka zaściankowa nie może chyba być przynętą do literatury dla młodych pisarzy. Zamiast żalić się na „ofiary spekulacyi“ należałoby raczej pociągnąć do odpowiedzialności „uwodzicieli społeczeństwa, handlarzy literatury“.

Nobody.

***

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

IV.

(Piśmiennictwo i jego adeptki w Galicyi. — Zawczesnie i bez szkół. — Kto pośród kobiet pisze rzeczy naukowe? — Jak pracują uczone kobiety u nas? Prasa i kobiety).

Literatura na naszej ziemi nie może się żalić na to, by była upośledzoną, a na wyżyny jej coraz śmielej i coraz częściej wspina się także kobieta. Warszawa i Królestwo Polskie wogóle ma więcej piszących, ma zatem i więcej kobiet — literatek. — U nas od czasu, gdy śp. Boberska złożyła pióro, najczęściej spotykamy nazwiska następujące: M. Wysłouchowa, A. Machczyńska, J. Sedlaczkówna, Szczęsna (obecnie także się przeniosła do Warszawy). A. Korngutówna, Wodzicka (Teresa z Potockich), W. Niedziałkowska, Lewicka, Kossowska, Mrozowicka, J. Zubrzycka (Strokowa). Lisicka (Anna z hr. Mycielskich), Antonina Gawrońska i Marya Jarmundówna. Prócz tych nazwisk przygodnie zdarzy się spotkać i z innemi, ale dość rzedko. Z najmłodszych adeptek literatury spotykamy od czasu do czasu pedagogiczne i nowelistyczne prace Gergowiczówny. Niejednokrotnie czytając próby pióra niewieściego przychodzi na myśl, że u nas zawcześnie i bez należytych poprzednio studyów pisać zaczynają. Obok tego literatki nasze pracują zwykle na polu pedagogicznem, ztąd rychło się wyczerpują, zapracowują i pomimo błysków, jakie się spostrzega w pierwocinach ich twórczości, szybko gasną i omdlewają. Obok tej ujemnej strony daje się także odczuwać bardzo brak szkół wyższych. Jedynie pensyonaty dają ogólne wykształcenie, a seminaryum specyalne. Szkoły wydziałowe kładą podwalinę do dalszego kształcenia się, do którego wszakże w publicznych instytutach

nie przyszło, gdyż założenie gimnazyów żeńskich jest na razie i jak dotąd w projekcie, aczkolwiek bardzo blizkim urzeczywistnienia. Kraków pierwszy pochlubi się żeńskiem gimnazyum. Jest także zapis 20 tysięcy złr. na taką szkołę w Przemyślu, ale o tem na razie cicho i głucho.

Wracając do kobiet, piszących w Galicyi, zaznaczyć wypada, w jakim dziale która pracuje. Jako wydawczynie i redaktorki pracują od lat kilku Anna Lewicka, Janina Sedlaczkówna, Zofia Mrozowicka i siostra jej Irena, nowelistka, która dostarczyła także scenie hr. Skarbka dwóch obrazków dramatycznych. Pierwsza z wymienionych tu poświęca się wyłącznie literaturze dziecięcej, zwłaszcza w dziale przyrodniczym, druga zaczęła swój zawód pisarski przed laty dziewięciu od następujących biografii dla młodzieży: *O życiu i czynach Kościuszki*. *Dwaj mistrze* (Grottger i Szopen), *Szymon Konarski*, *Karol Marcinkowski*, *Agaton Giller*; nastąpiły potem opowieści dla ludu, drukowane przeważnie w „Niedzieli“ i „Gazecie Gdańskiej“, dalej kilkaset powiastek historycznych dla dzieci, potem rozprawki pedagogiczne i „O kwestyi kobiecej“ w „Przedświcie“, wreszcie nowelle i obrazki historyczne. Z. Mrozowicka wydała przed kilkunastu laty zbiorek swych poezyi pod pseudonimem Iry, potem pisała powiastki dla dzieci, które i obecnie najżywiej ją zajmują. Stefania Kossowska dostarcza od kilkunastu lat drobniutkich wierszyków dla dzieci, a napisała ich już prawdopodobnie z tysiączkę. Obok niej pojawiały się nazwiska młodych panien, piszących mniej lub więcej udatne wierszyki, ale te przesunęły się po niebie naszego piśmiennictwa jak meteory: błysły i zgasły. Z tych meteorów dłużej na horyzoncie zatrzymało się imię Eweliny E. (Eulenfeldowej), która pisywała dla pism dziecięcych galicyjskich bardzo udatne i wielce przez dziatwę ulubione wierszyki, pełne humoru i uczucia. Dziatwa deklamuje je dotychczas z przyjemnością a szkoda, że nie stanowią one zbiorku, coby się do ich popularyzowania wielce przyczyniło. A kiedy już jesteśmy przy poezyi, to przedewszystkiem podnieść tu musimy wartość poezyi Szczęsnej. Wiersz jej każdy nieomal ma drogocenny podkład ideowy; to jest jej utworów cechą i zaletą: może w nowelach Szczęsnej czasem ktoś się dopatrzy zbytku egzaltacyi, nam jednakże w tych czasach zalewu materyalistycznego, chłodu a nawet zamrożenia serc — świecą jej utwory światłem poezyi, zapału i serdecznego uczucia. Takich leków nam potrzeba, bo jak mówi de Tocqueville: „*La grande maladie de l'âme, c'est le froid*“ (wielką chorobą duszy jest oziębłość). Teresa z Potockich Wodzicka dostarczyła literaturze naukowej 2 tomy „Historyi Polski“ napisane na podstawie bardzo sumiennych badań, z niemałym talentem narracyjnym. Nie mniejszą żywością opowiadania odznacza się jej najświeższa praca, nosząca miano: „Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I“. Drugą, pokrewną poniekąd autorką jest Anna z hr. Mycielskich Lisicka. Jej dzieło „Ze świata muzyki“ stanowi bardzo interesującą i zarazem pouczającą lekturę. Obraca się ona w dziedzinie muzyki, na której się doskonale rozumie, i ze zdrowym krytycyzmem rozpatruje dzieła arcymistrzów i mistrzów muzyki, podaje ich życie i odsłania przed czytelnikiem z ogromną erudycyą tło historyczne, społeczne i polityczne, na którem tem plastyczniej rysują się ich postacie. Razi tylko zbyt częste wtrącanie całych zdań francuskich, niemieckich, angielskich i włoskich. Niezawodnie gdy się temi językami dobrze włada, zasługa się częstokroć wyborna terminologia lub całe frazesy, ale język ojczysty i czystość jego przedewszystkiem! — O innych autorkach początkujących, lub zbyt mało piszących, nie możemy się rozwodzić, lecz natomiast wspomnieć należy o Maryi Wysłouchowej, która poświęca się przeważnie dziennikarstwu, redagowaniu „Przyjaciela ludu“, oraz tłomaczeniu, zwłaszcza z czeskiego i innych słowiańskich języków. Niezwykły entuzjazm i werwa, bujna fantazya, potoczystość stylu, pamięć bogata, mająca w zapasie setki przykładów dla uzasadnienia każdej obrony lub oskarżenia — oto cechy jej talentu pisarskiego. Nieco pokrewne pracom M. Wysłouchowej są świeżo wydane nowelle Teresy Klemensiewiczowej: „Z męczeńskiego żywota“. Są one arcypesymistyczne, jakkolwiek nie brak im życiowej i psychologicznej prawdy. Nowelle te należą do literatury schyłkowej, działającej deprymujące na umysł czytelnika, przygniatającej zwątpieniem bezgranicznem.

Do pilnych tłomaczek galicyjskich, zwłaszcza w zakresie literatury dramatycznej, należy artystka lwowskiej sceny hr. Skarbka, pani J. Otrębowa. Przekłada głównie z francuskiego bardzo poprawnie. A skoro już o języku francuskim mowa, tedy dodać musimy umiejętnie opracowane podręczniki polsko-francuskie przez Stefanię Wechslerową, która nieustannie sprawom publicznym się poświęcając, w różnych pracuje kierunkach.

Na tem kończymy pierwsze słowo o piszących u nas kobietach, zastrzegając się wszakże, że do kwestyi tej niejednokrotnie powrócimy jeszcze. — Kobietom u nas chęci dobrych nie brak, — a odwaga rośnie i zapał. Dawniej więziły w pamiętnikach lub biurkach swych „uczuć przędzę i swych myśli kwiaty“, dziś śmiało stają na forum publicznem. Ilekroć np. zdarzy się jaka klęska, z której ludzi ratować trzeba, kobiety pierwsze skupiają się jako armia silna w akcyi ratunkowej. Wtedy to pojawiają się obok innych usiłowań także jednodniówki, złożone przeważnie z prac kobiecych, rozsprzedawane na rzecz dotkniętych nieszczęściem pożogi, powodzi, głodu lub nieurodzaju. Taką jednodniówkę swego czasu wydała Czytelnia dla kobiet, a bodaj czy nawet nie zapoczątkowała tego rodzaju wydawnictw w naszym świecie kobiecym: później pojawiła się jednodniówka wydana staraniem Koła pań Towarzystwa Szkoły ludowej w setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego, gdzie pośród nazwisk męzkich spotykamy wiersze: Jadwigi z Zubrzyckich Strokowej, bardzo u nas popularnej, niezmordowanej w pracy, utalentowanej poetki i redaktorki „Polskiego ludu“, której wszystkie utwory odznaczają się niezwykłym ogniem patryotyzmu; dalej wiersz okolicznościowy J. Siedlaczkówny, a z prozaicznych prac drobnostkę p. Drzewieckiej i Antoniny z Miłkowskich Gawrońskiej (córki T. T. Jeża). O tej ostatniej jeszcze słów parę. Kierowniczka pensyonatu w Przemyślu, poprzednio mieszkała we Lwowie, gdzie wygłosiła seryę odczytów „*o głównych prądach literatury francuskiej*“. Wspaniałe te prelekcye później w streszczeniu podawał „Przedświt“. Następny jej odczyt: „*O kobietach w powieści współczesnej polskiej*“ zamieściła Gazeta lwowska. Pani A. Gawrońska jest laureatką uniwersytetu Zurichskiego, włada świetnie językiem polskim i francuskim i w obydwu tych językach pisze naukowe rozprawy. Pomimo wielkiej erudycyi jest bardzo skromną i pracuje niestrudzenie, cicho w swym zakątku przemyskim. Kształci i wychowuje świetnie dzieci własne oraz powierzone jej uczennice. Działalność jej tedy jest i szeroką i arcyużyteczną. Obyśmy tu setki takich nazwisk mieli do zanotowania.

J. Aleksota.

Salony paryskie 1896.

Rzeźbiarstwo.

Rzeźbiarstwo rozwinąć się, dojść do pewnego rozkwitu może tylko w społeczeństwie o pierwiastku przeważnie indywidualistycznym; zdaje mi się, że wniosek ten można uważać za słuszny, opierając go i na motywach psychologicznych i na dowodach zaczerpiętych z historyi. Czyż nie potrzeba żywiej rozbudzonej indywidualności, by własnem uczuciem i myśleniem ożywić marmur, który zazwyczaj mniej a przynajmniej ciszej zdaje się do nas mówić niż obraz jakikolwiek mający potężny język barw na usługi swoje? — Grecy, naród o wybitnym popędzie indywidualistycznym rozwinęli wspaniałe rzeźbiarstwo, toż samo Włochy w czasach odrodzenia, które tem wielkie były, że rozbudziły indywidualizm do samodzielnej pracy myśli i czucia, i dziś najwyżej stoi rzeźbiarstwo we Francyi, w tym kraju najswobodniejszego rozwijania się jednostek.

Wiele na ten temat możnaby mówić, roztrząsając psychologiczną treść rzeźbiarstwa — temat nadający się do szczegółowego opracowania — mnie tu dosyć było potrącić go tylko, zanim przejdę do krótkiego przeglądu francuskiego rzeźbiarstwa, o ile ono reprezentowane jest w tegorocznych salonach.

Nie ma, zdaje się, przedmiotu, czy to ze świata ciał, czy idei, któregoby Francuzi w rzeźbie przedstawić i opanować nie zdołali, — takie wrażenie wynosi się z salonów. Nie wynika ztąd, by wszystkie marmury czy gipsy, które tam znajdujemy, były dziełami bez zarzutu, lecz wśród tysiąca robót w obydwóch salonach na *Champs Elysées i Champ de Mars* znajdujemy arcydzieła rozwięzujące zwycięzko najtrudniejsze problemy sztuki rzeźbiarskiej. Choć nie ma już dziś Pradierów, Houdonów i Rudeów, są za to rzeźbiarze jak Lefevre, Laroche, Bertrand, Hengul i tylu innych. Nie brak tam marmurów wiernie kopiujących ciało ludzkie o najróżniejszych pozach, o najróżniejszem napięciu muszkułów, od zupełnego martwego spokoju aż do najżywszego ruchu, nie brak ciał żywych, w których zewnętrzne piękno walczy o lepsze z wyrażeniem wewnętrznej myśli, nie brak w końcu i grup o prawdziwie dramatycznych akcentach.

Ten młody żołnierz E. Peynota, który w boju „pro patria“ życie postradał, jakże widocznie już śmierci stał się ofiarą. Muszkuły zwiędłe osłabły, marmurowe członki stężały raz na zawsze i uśmiech bolesny zamarł na wargach; mimowoli przypomina się ten sławny na łonie Menelausa obwisły Patroklos nieznajomego starożytnego mistrza. Równie dobrą jak ten żołnierz Peynota jest Mattona dziewczynka, która w słodkiem farniente ułożyła się do sennego spokoju. Tam życie uszło na zawsze ustępując śmierci, — tu tli życie pod osłoną chwilowej nieruchomości.

Od zupełnej nieruchomości przejdźmy do powolnego, niepewnego ruchu, wyrażonego znakomicie w grupie G. Michela „l'aveugle et le paralytique“. Niósł ślepy kulawego, — jakże powoli a ostrożnie on stąpa ten żebrak o równie poczciwej i sympatycznej twarzy jak ten, który mu się na plecach umieścił. Grupa już tematem samym mogłaby łatwo wpaść w niesmaczny, uliczny rodzaj, a jednak utrzymał ją artysta na odpowiedniej wyżynie.

Przykładem najszybszego, błyskawicznego niemal ruchu, najwyższego napięcia muszkułów niech będą 2 grupy: „walka“ Lambeaux i „bieg“ Richera. Pierwsza, dwaj chłopcy trzymający się silnie w pas, jeden

drugiego przewrócić, pokonać usiłujący, tem zasługują na uwagę, że każdy z nich w następnej zaraz chwili jednym ruchem zmieni pozycyę ciała całego i każdego muszkułu.

Zbliżona zadaniem do tejże jest grupa Richera, w której dał nam mistrz trzech młodzieńców biegnących na wyścigi a w pracy swej złożył tem większe dowody talentu, obserwacyi i owładnięcia materyału, że w każdem ciele z osobna wyraził natężony bieg, dając przecież każde w innej fazie ruchu i broniąc się tem samem od monotonności. Nadmienić tu wypada, że obiedwie te grupy są na razie tylko modelami w gipsie, obrobione w marmurze, zyskałyby odpowiednio na precyzyi i wyrazie, podnosząc, delikatne akcenta, któreby wartość dzieła tem więcej uwydatniły, a które z natury rzeczy w gipsie poczęści zaniknąć musiały.

Jeżeli wspomniane wyżej prace zastanawiały nas śmiałością zadania i zwycięskiem wywiązaniem się z tegoż, to prawdziwą ucztą dla miłośnika piękna będzie obserwacya tych wszystkich marmurów, które za model wzięły sobie to, co zazwyczaj — słusznie czy niesłusznie — uważamy za ostatni wyraz piękna: ciało kobiece. Te wszystkie Zuzanny, Flory, Bacchantki itd. tyle mają w sobie piękna, wdzięku i wiosny, ile tylko kwiat świeży i dziewczę młode mieć mogą. A przecież jak różna treść i znaczenie nie mał każdej z nich. Od modlitwy i ekstazy dziecięcej przez pierwsze dreszcze miłości, do Wenery i Bacchantki — ileż tam stanów psychicznych i subtelnych odcieni. — Mimo, że tak wiele tam tych pięknych ciał kobiecych, nie ma przecież w nich szablonu, bo treść ich nie leży w samej tylko kopii fizycznego piękna, lecz w pięknie różnego nastroju duchowego.

Prześliczny bas — relief I. Bertranda, zatytułowany „en priere" przypomina miękkością rysunku, delikatnością linii, a w końcu tem zupełnem owładnięciem zewnętrznej techniki na korzyść wewnętrznego duchowego wyrazu sławną Cecylię Donatella. Niewinność, czystość, jakieś wprost Boskie tchnienie wieje z tej marmurowej rzeźby. Zbliżony myślą i mistrzowską robotą jest gips Peyre'a „ekstaza dziecięca", przy którym nie wiedzieć, na co więcej zwrócić uwagę, czy na tę wewnętrzną ekstazę, czy też na zupełnie zewnętrzną stronę, mianowicie na wykonanie koszulki, która z największą naturalnością przylega do ciała jeszcze niezupełnie rozwiniętego. — Nie mogę z osobna zatrzymywać się nad Desćata oburzonią Zuzanną, Matheta rozkwitłą Florą, Gontaut-Birona rytmem i powiewnością zachwycającą Bacchantką, nadmieniam tylko, że nigdzie siła ekspressyi nie doszła do tej wyrazistości, jaką wlał Jespers w popiersie zatytułowane „non". Twarz młodej kobiety, o rysach regularnych a ostrych, o ściągniętych brwiach z taką stanowczością wymawia swoje „nie", że trzebaby być bardzo śmiałym, by po tak niedwuznacznej odpowiedzi powtórzyć własne żądanie wobec tej uosobionej, urągającej negacyi.

G. Michel, ten sam, o którego grupie „ślepy i paralityk" już mówiliśmy, wystawił jeszcze allegoryczną „Myśl". Wszelkie takie allegorye to zadania, przy których rzeźbiarzy często talent i twórczość zawodzi. Trzeba było być Michałem Aniołem, by wykuć „Noc", „Wieczór itd. Wiemy natomiast jak marnie wyszedł na swych zamiarach wcielenia siły, sprawiedliwości i innych pojęć niemiecki Begas! Michel nie upadł pod brzemieniem zadania. „Myśl" jego to młoda kobieta, siedząca w poważnej pozie i pełnem odzieniu na skromnym tronie, — pomysł sam dość oryginalny wobec tych, dotychczasowych brodatych i zgrzybiałych starców, którzy „Myśl" uosabiać mieli, — pomysł oryginalny a szczęśliwy.

Marqueste, — ten, który Kupidynem swym, Galateą i innemi pracami przeszedł już do muzeum de Luxemburg panteonu nowoczesnej sztuki francuskiej, — wystawił tego roku przedziwnym wdziękiem owianą grupę „les premiers pas". Młoda matka na kamieniu przysiadłszy trzyma przed sobą drobne chłopię chodzić usiłujące; jest w tej grupie mistrzowskie władanie dłutem, ujawniające się w płynności linii twarzy i całego ciała, jako i w obrobieniu lekkiej, w delikatne fałdy układającej się sukni, jest ciepło, prostota i prawda, świadczące, że rzeźbiarz z równą miłością brał się do swego dzieła, jaką wlał w rysy i w całą postac tej matki, niemowlęciem swem zajętej.

Nie mógłbym zamknąć tego krótkiego przeglądu, nie zatrzymawszy się nad grupą J. M. Mengue'a „Kain i Abel". Temat to często już powtarzany; tragiczna postać Kaina tak wielu zajmowała i zajmuje artystów, że niema prawie wystawy i większego muzeum bez Kaina i Abla. Jeżeli zas Mengue swoją grupą odniósł nad wszystkimi swymi braćmi w zawodzie zwycięstwo, otrzymując tegoroczny medal pierwszej klasy, to dowiódł tem samem tej starej prawdy, że prawdziwy talent nie w szukaniu oryginalnych pomysłów, lecz w artystycznem obrobieniu, oryginalnem pojęciu, choćby i najstarszych tematów, się ujawnia. Jest w tej grupie prawdziwy dramatyczny akcent przejmujący dreszczem grozy; jest przedewszystkiem o tyle odrębne pojęcie postaci Kaina, że łączy ona w sobie widocznie biblijny strach, niemal już skruchę z byronowską hardością szturmującą niebo; tem wyróżnia się Kain Mengue'a od innych znanych mi grup tego samego motywu, wyobrażających Kaina wyłącznie, czy to w biblijnem, czy w byronowskiem pojęciu. Mengue połączył te dwa wzajem wykluczać się zdające pierwiastki i stworzył tem samem rzeźbę oryginalną o wartości wysoce artystycznej. Jury złożyło dowód głębokiego znawstwa i delikatnego poczucia piękna, wieńcząc tę właśnie pracę pierwszym medalem.

Starałem się w tym krótkim zarysie dać nie tyle krytykę rzeźb w tegorocznych salonach paryskich, ile pojęcie o dzielności i sile francuskiego rzeźbiarstwa. Dla tego nie wspomniałem np. wcale o Basteta „Venus au myrte", obdarzonej zbyt rubensowską pełnią nóg w stosunku do górnych partyi, nie noszącej przytem piętna Wenery nigdzie tak wyraźnie jak na tabliczce z podpisem; nie wspomniałem o „tancerce" Falguiere'a, która przypominając rysami jednę z najwięcej znanych paryskich artystek scenicznych, tyle hałasu wywołała; nie wspomniałem o Tegnera grupie „la suprématie", pozującej na głęboką filozofię etyczną, a nie będącej niczem innem jak nieznośną pustą pozą, goniącą za taniemi efektami. — W każdym razie większość tych prac z najzupełniejszą słusznością odniosła medale 2-giej czy 3-ciej klasy, pochwały lub honorowe wzmianki, gdy tymczasem z równą słusznością nie znaleziono żadnego obrazu godnego medalu 1-szej klasy. Jest to wielceharakterystyczną cechą; możnaby o współczesnych malarzach powiedzieć, co niegdyś o Sokratesie jako filozofie powiedziano: że sprowadzili malarstwo z nieba na ziemię, do mieszkań ludzkich. Jest i w tem pewna zasługa, sztuka zyskuje na popularności, ludzie przychodzą do przekonania, że jest ona dla nich a nie dla galeryi i muzeów, ale traci ona tem samem na głębokiej treści, wydaje rzeczy nie tyle wielkie i potężne, ile skończone w technice, ładne i miłe dla oka, — co jednakże nie wystarcza, by miały przetrwać chwilowe wrażenie.

Rzeźbiarstwo już samo przez się nie nadaje się tyle do popularyzowania i dla tego może choć stosunek jego liczebny mniejszy od malarskich okazów w tegorocznych salonach, łatwiej było w niem znaleść dzieło monumentalne.

Stefan Waszyński.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Walka z alkoholem
w Północnej Ameryce.

I.

Badając ekonomiczne stosunki pojedynczych narodów przekonywamy się, że w wielu krajach wydatki na napoje wyskokowe w porównaniu do wydatków na najniezbędniejsze artykuły spożywcze odznaczają się anormalną wysokością. Podług obliczenia dokonanego w Niemczech przypadało w r. 1889 na głowę ludności 4,64 litra wódki, 105,3 litra piwa i 6,44 litra wina; co przy ludności 50 milionowej stanowi wydatek 40 marek na osobę, ogółem zaś oznacza olbrzymią sumę 2 miliardów wydawanych corocznie na gorące napoje. Podług tego samego obliczenia przypadała na głowę konsumcya 7,8 kgr. cukru, 1.72 kgr. ryżu, 13,7 kgr. soli, 2,31 kgr. kawy, 0,19 kgr. kakao, 0,04 kgr. herbaty i 11,25 kgr. nafty, co wszystko razem nie wyniesie jeszcze 20 marek.

To samo spostrzeżenie, że wydatki na picie nie pozostają w odpowiednim stosunku z innemi wydatkami zrobiono także w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie w 1869 r. skonsumowano za 329 milionów dolarów mąki, 115 milionów wyrobów bawełnianych, za 90 milionów obuwia, za 70 milionów garderoby, za 70 milionów towarów wełnianych i za 40 milionów książek i gazet. Wobec tych sześciu pozycyi, wynoszących razem 705 milionów dolarów, prezentowało się bardzo pokaźnie, 1,487 milionów wydanych na gorące napoje. W r. 1880, gdy ludność Stanów Zjednoczonych liczyła 50 milionów głów, wynosiła konsumcya napojów wyskokowych 596,276,460 galonów (1 galon 3,785 litra), konsumcya ta podniosła się jednak do 1893 r. na 1,207,731,968 galonów, podwoiła się więc z górą, gdy ludność podniosła się w tym okresie zaledwie o 15 milionów głów, a mianowicie do 65 milionów. Wydane przez ludność Stanów Zjednoczonych w r. 1893 na gorące napoje pieniądze obliczają na 1,900—2,000 milionów, suma, której olbrzymią wysokość pojmiemy dopiero wtedy należycie, jeżeli zważymy, że w tym samym roku wartość zbioru pszenicy, żyta i owsa we wszystkich stanach Unii wynosiła 1,173 miliony dolarów, oraz że wszystkie koleje żelazne kraju przy ogólnym dochodzie 1,200 milionów, osięgnęły zaledwie 358 milionów dolarów czystego zysku.

Spostrzeżenie, że konsumcya gorących napojów w porównaniu z innemi potrzebami wykazuje anormalną wysokość, a obok olbrzymich wydatków pieniężnych pochłania liczne ofiary, przyczynia się do niweczenia szczęścia i życia ludzkiego, że dalej w skutek pijaństwa zwiększa się liczba przestępstw i nędza — obudzić musiało z samej natury rzeczy w sferach ludności, dążących do polepszenia obyczajów ruch skierowany przeciwko nadużywaniu gorących napojów. Ruch ten datuje się w Stanach Zjednoczonych od r. 1808, w którym to roku w miejscowości Greenfield w stanie NewYork powstało pierwsze stowarzyszenie wstrzemięźliwości od go-

rących napojów. Stowarzyszenia tego rodzaju rozszerzyły się z czasem po całym cywilizowanym świecie, a pomimo wybryków, jakich się dopuszczają zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, uważać je należy za urządzenia, pokładające znaczne zasługi około dobra ludzkości.

Podług wzoru z niewielu członków składającego się stowarzyszenia w Greenfield utworzyła się w r. 1826 w Bostonie „American Temperance Union", która agitacyą swą przeciwko nadużywaniu gorących napojów rozwijała głównie w miastach portowych, gdzie w tych czasach whiskey pomiędzy marynarzami straszliwe czynił spustoszenia. W r. 1842 powstał w New Yorku zakon „synów wstrzemięźliwości" (Sons of Temperance) dzielący się dzisiaj na cztery związki narodowe, z których jeden obrał sobie Amerykę Północną za widownię swej działalności, gdy inne w W. Brytanii, Irlandyi i Australii wojują przeciwko pijaństwu. Północno-amerykański związek liczy od 60 do 70,000 członków. W dziesięć lat później powstał również w Nowym Yorku „Niezależny zakon dobrych Templaryuszów (independant Order of Good Templars), który zapożyczył swej nazwy od rycerskiego zakonu Templaryuszów. Członkowie tego zakonu poświęcili się walce z alkoholem, którego wyrobowi, dowozowi i konsumcyi na inne jak przemysłowe, naukowe i lekarskie cele starają się zapobiedz wszelkiemi środkami. Wstępujący do zakonu zobowiązany jest do zupełnego wstrzymywania się od wszelkich napojów wyskokowych. Związek ten naśladuje wolnomularzy, otacza się wobec świata zasłoną tajemnicy, dzieli się na loże, których członkowie noszą oznaki, a poznają się wzajemnie w „świecie" za pomocą im tylko znanych gestów, znaków i haseł. Zakon ten, który w r. 1883 zakrzewił się także w Niemczech, i w Szlezwigu-Holsztynie, Berlinie, Lipsku i w Szwajcaryi urządził loże, liczy obecnie 403,849 dorosłych członków.

Oprócz tego należy do oddziału młodzieńczego 169,804 członków. Głową zakonu czyli ściślej, „czcigodnym wielkim Templaryuszem loży wszechświatowej" jest naczelnik indyańskiego szczepu Mohikanów, żyjący w Torruto w Kanadzie lekarz Oronhyatukha. Istnieje oprócz tego w Stanach Zjednoczonych założone w 1848 r. katolickie stowarzyszenie wstrzemięźliwości, z 200,000 członków, oraz utworzony w 1870 roku zakon „Royal Templars of Temperance" z 22,165 członkami. Oba te związki domagają się zupełnej wstrzemięźliwosci od alkoholu. Z samej natury rzeczy ruch ten zainteresować także musiał w wysokim stopniu świat kobiecy. Żony przecież i matki najwięcej cierpią w skutek zniszczonego szczęścia rodzinnego, im też najczęściej rzucają się w oczy straszliwe skutki pijaństwa.

Przy cechującej amerykańską kobietę skłonności do czynnego udziału w wszelkim ruchu publicznym, dziwić nikogo nie może powstawanie kobiecych stowarzyszeń wstrzemięźliwości i tak utworzyła się w r. 1874 w Cleveland w stanie Ohio „National Woman's Christian Temperance Union", licząca dzisiaj 171,344 kobiety jako członków płacących składki i 19,253 mężczyzn jako członków honorowych. W Chicago, głównem siedlisku związku, założono „zbór", z którego w r. 1893 rozesłano przeszło 270 milionów stronnic druku. Drugi składający się wyłącznie z kobiet i kierowany przez kobiety związek założony został w r. 1890 również w Cleveland w stanie Ohio. Jak głosi jego nazwa „Non Partisan National Womans's Christian Temperance Union — surowo jest wzbronione wszelkie mieszanie jego dążeń, skierowanych wyłącznie ku propagandzie wstrzemięźliwości ze sprawami konfesyjnemi i politycznemi.

Pomimo młodego swego wieku związek ten liczy już dzisiaj 475 filii i blisko 8000 członków. Od narodowego chrześciańskiego kobiecego stowarzyszenia wstrzemięźliwości w Chicago oddzielił się w r. 1883 inny związek pod nazwą „World's Woman Christian Temperance Union", mający na celu rozszerzyć się po całym świecie. Z głównej swej kwatery, znajdującej się również w „zborze" w Chicago wysyła ten związek od lat kilku kobiecych mówców wędrownych do wszystkich narodów, celem propagowania wstrzemięźliwości. Służyć ku temu celowi ma projekt skłonienia za pomocą olbrzymiej petycyi, podpisanej przez poddanych wszystkich państw, głów panujących całego świata, aby potężny swój wpływ rzuciły na szalę walki przeciwko alkoholowi. Olbrzymia ta petycya, zaopatrzona już w kilka milionów podpisów w najrozmaitszych językach i alfabetach wystawiona została ubiegłej jesieni w Waszyngtonie na widok publiczny i przedstawiona prezydentowi Clevelandowi. Zeszyte z sobą kartki wykazywały razem długość kilku kilometrów a wypełniały pięć olbrzymich skrzyń. W lecie bieżącego roku petycya ta ma być przedstawiona panującym europejskim. Wynika z tego, że stowarzyszenia wstrzemięźliwości stały się w Ameryce potęgą, oraz że kobietom amerykańskim zawdzięczają te stowarzyszenia znaczną część swych korzyści.

ODEZWA
w kwestyi statystyki studyów kobiecych.

Ruch kobiecy w kierunku wyższych studyów datuje od lat przeszło trzydziestu; w okresie tym kobiety stopniowo uzyskały prawo wstępu do 5-ciu uniwersytetów szwajcarskich, dwóch francuzkich (Paryż i Montpellier) oraz do wszechnicy brukselskiej. Od r. 1866, tj. od czasu, gdy po raz pierwszy spotykamy nazwisko studentki w spisach uniwersytetu zürichskiego, w samej Szwajcaryi przeszło 1,600 kobiet ukończyło lub prowadzi jeszcze studya. Na tle tej liczby, w skład której wchodzą przedstawicielki prawie wszystkich narodowości europejskich, Polki wydzielają się grupą, wynoszącą blisko 12% całości. Wartość względna tego stosunku okaże się zresztą znacznie wyższą, gdy weźmiemy pod uwagę, że dążenie kobiet do studyów uniwersyteckich opóźniło się u nas prawie o dziesięć lat w porównaniu do innych krajów. Wprawdzie pierwsza studentka Polka ukazała się już w r. 1870—71, ale właściwy ruch w tym kierunku rozpoczyna się dopiero w latach 1876—77.

Dwadzieścia lat upływa od tego czasu. Ruch, który w początkach istnienia liczył w swych szeregach zaledwie jednostki, mimo przeszkód, stawianych mu przez opinię, mimo trudności, wynikających ztąd, iż nauki trzeba było szukać na dalekiej obczyźnie, rozwijał się powoli lecz stale, wzrastając liczebnie i z biegiem lat nabierając w coraz to wyższym stopniu cech ciągłości. Cechy te stwierdza przedewszystkiem fakt, iż coroczny napływ nowych studentek znacznie przewyższa ilość czy to kończących, czy to przerywających studya. Wytrzymawszy próbę przeciwności i czasu, ruch kobiecy u nas w jego stadyum obecnem może już z kolei stać się probierzem teoryi, sprzyjających lub przeciwnych równouprawnieniu kobiet na polu pracy naukowej. Dziś, gdy jego historya znaną jest zaledwie w swych najogólniejszych zarysach, głosy „za" i „przeciw" opierają się tylko na mniej lub więcej gołosłownych twierdzeniach. Dokładne zbadanie stanu rzeczy zapobiegłoby skutecznie dyletanckiemu traktowaniu kwestyi; siła faktów zdyskredytowałaby wtedy z konieczności jedne opinie na rzecz drugich i przyczyniła się w znacznej mierze do uproszczenia poglądów.

Oprócz tego względu nasuwa się inny, szerszej natury.

Każde zjawisko jest tylko formą zewnętrzną, w której ujawnia się działanie pewnego kompleksu sił. Ukazanie się nowego zjawiska wskazuje fakt, iż stosunek sił, działających w danym układzie, uległ pewnym zmianom. Stałość zjawiska jest w tym razie miarą stałości i głębokości zmian; jego charakter określa ich naturę.

Dla społeczeństwa nie mogą być obojętnemi zmiany, zachodzące w jego łonie. Nie może ono pomijać milczeniem pytania: jakiem jest ich źródło i zakres i czemu siły, działające dawniej w pewnym kierunku, rzeźbią sobie obecnie inne łożysko. Odpowiedź na to pytanie jest kwestyą świadomości społecznej, świadomość zaś jest owym czynnikiem, który człowiekowi podaje do ręki ostatnie ogniwo przyczynowego łańcucha i pozwala — choć w części — celowo pokierować danem zjawiskiem.

Jest faktem uznanym, iż dążenie naszych kobiet do wyższych studyów fachowych i ogólnych wskazuje głębiej leżące przyczyny i spornie bywa rozstrzyganą tylko kwestya charakteru i doniosłości tych przyczyn. Sądzimy, iż zbadanie zjawiska samego w sobie oraz stwierdzenie jego stosunku do niektórych innych, zachodzących współcześnie, rzuci niejakie światło i na same przyczyny i, jeśli nie wyjaśni ich w całości, to przynajmniej wskaże kierunek, w którym winny być prowadzone dalsze poszukiwania.

W tym celu podejmujemy dziś pracę przeprowadzenia statystyki studyów kobiecych zagranicą. Dostęp do źródeł oficyalnych, jako to: spisy uniwersyteckie, wykazy udzielonych stopni naukowych, w znacznej mierze ułatwia nam zadanie. Ale źródła te grzeszą niekiedy brakiem dokładności równocześnie zaś nie mogą zawierać wszystkich potrzebnych informacyi. Dlatego też niniejszem zwracamy się do wszystkich studentek - Polek, które czy to ukończyły, czy przerwały studya, z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Miejsce pochodzenia.
2. Zajęcie rodziców.
3. Zajęcia przed rozpoczęciem studyów.
4. Stopień przygotowania (patent, studya przygotowawcze samodzielne).
5. Data wstąpienia i wystąpienia.
6. Miejsce studyów.
7. Wydział.
8. Stopień naukowy.
9. Zajęcia po ukończeniu.
19. Przyczyny ew. przerwy w studyach.
11. Stan cywilny (z wzmianką, czy ew. zamążpójście miało miejsce przed, czy po wstąpieniu na uniwersytet).

Z załączonych pytań wynika, że oprócz ilościowego stanu ruchu kobiecego u nas i jego rezultatów bezpośrednich, zamierzamy uwzględnić:

a. jego sferę geograficzną i społeczną (1, 2),
b. stosunek do wykształcenia średniego (4)
c. charakter, wynikający z wzajemnego stosunku studyów fachowych do ogólnych,
d. stosunek do instytucyi rodziny.

Zebranie i usystematyzowanie tych danych pozwoli następnie wyciągnąć z nich wnioski ogólne.

Ufamy, że nasze przedsięwzięcie zainteresuje tych wszystkich, których obchodzi wyjaśnienie tego przyczynku do „kwestyi

kobiecej“ w naszem społeczeństwie; ufamy, że nie odmówią nam swej pomocy te jednostki, które czynny przyjmowały udział w stwarzaniu ruchu emancypacyjnego u nas. To też kończymy wyrazami nadziei, iż odezwa nasza nie pozostanie bez echa.

E- Czyżowska. M. Goldfus. Ż. Bassak.

Odpowiedzi uprasza się nadsyłać pod adresami: M-lle Sophie Bassak, Genève 38 rue de Carouge. M-lle Goldfus, Genève, Université, Laboratoire de Botanique.

Wolne Głosy.

O prawdę.

W sprawie lwowskich korespondencyi naszych pt. „Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej“ otrzymujemy z prośbą o umieszczenie pismo następujące:

Szanowny Redaktorze! Nie zabierałabym głosu w sprawie niesłusznych zarzutów, podniesionych w korespondencyi N-ru 23 „Przeglądu Poznańskiego“ przeciw lwowskiemu Kołu pań Towarzystwa Szkoły ludowej, gdyby nie szkoda, jaką one sprawie samej przynieść mogą. (?? Przyp. Red.) Chorobą, która powstrzymuje każdą żwawszą działalność na polu spraw publicznych jest lenistwo: do niego jednak nikt otwarcie przyznać się nie ma odwagi, szuka zatem tłomaczenia w rodzaju: „Po co mnie tam, wiem, że i tak nic się nie zrobi.“ A powiedziawszy to najpierw dla uniewinnienia swej bezczynności, wmówiwszy w siebie następnie, by ukołysać odzywające się jeszcze poczucie obowiązku, zasypia snem... sprawiedliwego i radby przedrzemać tak życie całe.

Oprócz celu bezpośredniego, zadaniem stowarzyszeń, jak Towarzystwo Szkoły ludowej, bardzo może karygodnem w oczach takich spokojnych jednostek (?? Przyp. Red.), jest przerywać zbyt wygodny spoczynek, budzić z niego i przypominać obowiązki dla kraju i narodowości. To zadanie lwowskie „koło pań“ spełnia ze wszystkich sił, bo stara się objąć jak najszersze koła, korzystając z każdej sposobności, aby przypomnieć się czasopismami, ogłaszając sprawozdania i krzątając się koło budowy samodzielnych szkół (Łukowiec wiśniowski w obecnej chwili), lub też łącząc usiłowania swoje z u iłowaniami całego kraju, (pomoc, jaką niesie dla zebrania funduszów na szkołę w Białej itp.) Gdyby autorka korespondencyi interesowała się dość żywo pracą kobiet w naszej dzielnicy, nie zdradziłaby się niezawodnie z tak grubą nieświadomością, jakiej dowodzą podniesione zarzuty, mając sposobność być zawsze a u c o u r a n t spraw Koła, które nie otacza ich tajemnicą, bo prosi nawet usilnie o jak najliczniejsze przybywanie na posiedzenia Wydziału w każdy pierwszy piątek miesiąca. Od chwili zawiązania lwowskiego Koła pań, a więc rok piąty odbywają się posiedzenia Wydziału nieodmiennie w każdy piątek między godziną 5 tą a 7-mą i osoby, mające chęć szczerą czy to zapisać się na członka, czy złożyć wkładkę roczną, mają po temu dość sposobności i korzystają z niej skwapliwie. Zapisywać się też można w uproszonych o to pismach handlowych, o czem donosiły dzienniki — oprócz tego Koło zaprasza nietylko członków, ale i szerszą publiczność na kwartalne i walne zgromadzenia. Stale też posiedzenia swoje odbywa i czynności załatwia w lokalu Stowarzyszenia Nauczycielek, uiszczając za to niską opłatę i oszczędzając tem samem znaczną kwotę, jakąby inaczej na lokal oddzielny, tegoż urządzenie, utrzymanie i obsłużenie wydać wypadło, o którą w ten sposób powiększa fundusz, mogący być użyty na cele Towarzystwa. Jestże to grzechem? Co do zarzutu panującego rzekomo w Kole tem nieładu najlepszą odpowiedzią będzie drukujące się właśnie sprawozdanie roczne, które Koło niebawem Szanownej Redakcyi nadeśle. Autorkę zaś korespondencyi prosi gorąco o przybycie na walne zgromadzenie, które lada dzień ogłoszą dzienniki tutejsze — członkowie Koła bowiem nie uważają się bynajmniej za ostatni wyraz doskonałości i rozumu i chętnie korzystają z rad, udzielanych szczerze, o które jednak niestety trudniej niż o gołosłowną krytykę. *M.*

TO I OWO.

Epizod z wojny.

Jedna z większych potyczek hiszpanów z kubańczykami, stoczona d. 11 z. m. w miejscowości San Claudio, zaznaczyła się wypadkiem istotnie tragicznym. Kubański, porucznik Alvarez, spostrzegłszy, że podpułkownik wojska hiszpańskiego, Debos, oddalił się zbytnio od prawego skrzydła sił swoich, pospieszył do niego w towarzystwie dwóch kubańskich szeregowców, w zamiarze wzięcia go do niewoli. Podpułkownik jednak zdążył cofnąć się ku swoim, gdy tymczasem trzej kubańczycy zostali w jednej chwili otoczeni przez żołnierzy hiszpańskich. Pani Alvarez, dzieląca w szeregach jenerała Maceo dolę i niedolę ze swoim mężem, widząc, że zagraża mu śmierć niechybna, rzuciła się bez opamiętania na pomoc. Dwóch jeszcze kubańczyków podążyło za nią. Walczono machetami, tj. krótkiemi pałaszami, używanemi w całej podzwrotnikowej Ameryce dla torowania dróg w dziewiczych lasach. Hiszpanie i kubańczycy skłębili się w krwawem śmiertelnem starciu. Wśród nich odważna kobieta cudów męztwa dokazywała, broniąc swego męża z wściekłością tygrysicy. Ze zdumieniem patrzyli na nią żołnierze. Już czterech kubańczyków legło. Wreszcie herkicznym wysiłkiem otworzył Alvares lukę i wołając na żonę, rozgorączkowany walką, oślepiony krwią i potem, zaczął się cofać ku swoim. Gdy jednak stanął w bezpiecznem miejscu, zobaczył, że żony przy nim nie ma. Zginęła waleczna pod ciosami żołnierzy hiszpańskich. Straszną tę wieść przynieśli mu towarzysze. Nieszczęśliwy człowiek jęknął i raptownym ruchem przyłożywszy rewolwer do własnych piersi, wystrzelił. Jenerał Maceo, który widział tę scenę, podszedł do ranionego. — Po coś to uczynił? spytał. — Nie chcę, by mówiono, żem stchórzył, żem opuścił żonę w niebezpieczeństwie. — Proś Boga — rzekł na to słynny dowódzca kubański — by ci śmierć zesłał. Jeżeli bowiem żyć będziesz, zostaniesz powieszony. Potrzeba mi ludzi, którzyby ginęli od kul hiszpańskich, a nie własnych. Zmarnowałeś kulę. Po chwili Alvares skonał.

* * *

Wystawa w roku 1900.

Oddawna się mówi jak o fakcie nieodwołalnie stać się mającym, o międzynarodowej wystawie w Paryżu w r. 1900. Otóż dopiero w połowie czerwca rb. senat zatwierdził projekt rządu francuzkiego co do przygotowania owej wystawy, której koszta są obliczone na 100 milionów franków. Dyskusya nad tą kwestyą zajęła całodzienne posiedzenie senatu, wielu bowiem mówców występowało przeciwko urządzeniu wystawy a zwłaszcza przeciwko urządzeniu jej na tak wielką skalę. Wystawa w r. 1889 kosztowała 40 milionów, dla czegóż więc przyszła ma pochłonąć aż 100 milionów? Na co zwolennicy wystawy, popierając cyfrę postawioną przez rząd, oświadczyli, że Francya jest obowiązaną godnie odpowiedzieć na oczekiwanie całego cywilizowanego świata, zatem każdą z paryzkich wystaw międzynarodowych, powinna urządzać coraz świetniej i w coraz szerszym zakresie.

Kto dostarczy potrzebną sumę 100 milionów? — .0 milionów da państwo, 20 milionów miasto Paryż, a reszta, czyli 60 milionów powinna wpłynąć za bilety wejścia, tymczasowo zaś suma ta zaawansowaną zostanie przez finansowo-przemysłowe syndykaty, tworzące się z powodu przyszłej wystawy i gwarantujące dostarczenie tego funduszu na własne ryzyko. Tak więc rząd i miasto Paryż stoją po za możliwością strat, będących prawdopodobieństwem naprzód przewidywanem przez tworzące się syndykaty, spodziewające się wynagrodzenia swej hojności drogą wywołanego impulsu handlowego. Wystawa w r. 1889 miała wyjątkowe powodzenie, a pomimo to bilety wejścia przyniosły tylko 21 milionów franków, zatem dla uniknięcia deficytu w r. 1900, trzeba, aby wystawę zwiedziło trzy razy więcej osób, bowiem .ena biletów ma pozostać ta sama co wr. 1889, tj. frank „jeden“.

*

Honor oficerski.

Żyjemy — pisze „Wien. Allg. Ztg.“ — w nadzwyczaj wydelikaconych pojęciach o honorze. Przed kilkoma dniami w delegacyi austryackiej poseł Bareuther przytoczył fakt, który zdanie to potwierdza Pewien oficer armii austryackiej wyjechał za urlopem do swego brata na wieś. Oficer miał zamiłowanie do rolnictwa i bawiąc na wsi, lubił zajmować się oraniem ziemi. Chodzącego za pługiem widział jeden z kolegów pułkowych i doniósł przełożonym. Złożono sąd honorowy, który polecił oficerowi złożyć godność oficerską za to, iż orał.

Z tego powodu odzywa się „Kuryer Przemyski“ jak następuje: „Armia i wszystko, co się w niej dzieje, są dla prasy, „sacra sancta“ w pojęciu naszych ustaw prasowych. Opinii własnej o owem zajściu nie wolno nam wypowiadać; wolno jednak, i to czynimy, sięgnąć myślą w przeszłość i przeciwstawić dzisiejszym pojęciom o honorze wojskowym zapatrywania niedawnych jeszcze czasów.

Dotychczas jeszcze w szkołach obowiązują czytanki, gdzie, chyba nie dla naśladowania, opisano z pietyzmem jak to najwyższy wódz armii austryackiej, cesarz Józef II publicznie orał pługiem tę czarną glebę, co karmi zarówno maluczkich rolników, jak i najwyższą „szarżę“. Cesarz Józef II miał zapatrywania, które, Bogu dzięki, dzisiaj są nam obcemi. Dzisiaj zwykły oficer za taki popis musiał — „kwitować“. Reakcyoniści, którzy nie umieją cenić honoru ludzkiego, niechaj sobie pielgrzymują do starożytnego Rzymu i radują się wspomnieniami o niejakim Cyncynacie. Lutius Quintius Cincinatus — ów zardzewiały inwentarz szkolnych wypisów, — niechajby dziękował Opatrzności, iż nie kazała mu urodzić się dzisiaj w Austryi. Nie zrobiłby pewnie takiej karyery, jak ongi w Rzymie. Miałby się spysznastary wódz, gdyby mu przyszło stosować się do modnego pojęcia o honorze!

Wiadomo bowiem, jak nieprzyzwoicie zachowywał się ów Cincinatus i jak nieobyczajnie deptał honor rzymskiego sztandaru. Rozmaite zajścia złożyły się na to, że prosty ten chłop rzymski. dziwnym sposobem

awansował na najwyższego wodza armii. Jako taki bił nieprzyjaciół i prowadził ich pod jarzmo. Ale nie mógł oczyścić się z plebejuszowstwa, albowiem po wojnie wracał do rodzinnej zagrody i bezwstydnie sam orał swe pola. Charakterystyką niskiego poziomu pojęć o honorze u starożytnych Rzymian jest właśnie okoliczność, iż Cyncynatowi nie odebrano wojskowej godności. A jeszcze dziwniej, iż dzisiejsi pedagogowie austryaccy stawiają go za przykład w czytankach dla dzieci. Takiego prostaka, co śmiał orać ziemię! Fe! Pług jest wprawdzie najgłówniejszem narzędziem dla zdobycia chleba, — ale jest narzędziem krzywdzącem honor szanującego się oficera. Jeżeli oficer ma już zamiłowanie do gospodarki rolnej, to niechaj raczej odda się hodowli koni: to jest zajęcie honorowe.

Mamy przytem i totalizatora, czego pługowi braknie. Wprawdzie i totalizator niejednemu oficerowi przyniósł utratę szarży; no, ale przynajmniej nie bezpośrednio. I to pociecha. A zresztą — dość o tej sprawie. Mamy wszakże tylu, co zasługują na to, iżby szli przed pługiem, że co nas tam obchodzi nieszczęście jednego, który ośmielił się za pługiem kroczyć!"

Na Wyłomie.

(Symptomy trwogi. — Zamęt. — Frazesy polityczne).

Dawno juz w atmosferze poznańskiej nie odczuwałem tyle niepokoju, co w obecnej chwili. Oczy błądzą szukając czegoś, jakieś drzenie idzie przez tłumy, wszystko bada, pyta i jutra szuka z przestrachem. — Tak przed burzą krążą jaskółki, tak liście drzew grają nerwowo, gdy chmura kryje błękity i pomruk gromów bije z oddali. I cóż dziwnego? Lata całe mówiono nam cicho i głosno, że tej znękanej ziemi zaświeci słońce cesarskie i ludzie wyciągali ręce do pięknej fatamorgany, którą kuglarze polityki naszej ulepili z orderowych błyskotek i czarujących obietnic. Lata całe to trwało i naród pieścił się tem bawidełkiem, a w duszy jego gasł zwolna bunt i siła, co sobie ufa, nie innym. Nagle wiatr powiał, wstrząsnął raz i drugi gromadą rozmarzonych dzieci, i kraj zrozumiał, że tam na firmamencie nie ma blasków przedświtu, jeno noc i burza. A im dłużej w mrok się wpatrywał, tem gęstszą stawała się ciemność i silniej grało chmur łono. Dziś nikt już nie wątpi, że finałową sceną wielkiej komedyi „ugody" stał się ucisk spotęgowany, wgryzający się w żywe mięso na wszystkich punktach społecznego organizmu. Nasamprzod ozwało się smutne fiasco w polityce szkólnej, — później z wyżyn rządowych wysunęła się ręka błogosławiąca hordę Hakatystów, — następnie zaczęła się naganka na stowarzyszenia polskie i zgrzytła sprawa sokolskiego zlotu, — wreszcie przemówiły Witaszyce w akompanjamencie potwornej nienawiści germańskiej. — Nie wesoły bilans ugody, — zaczyna się nowy Bismarckowski taniec i nikt się już dzisiaj nie łudzi prócz ślepców Kuryerowej barwy, którym żadna sztuka lekarska wzroku nie przywróci.

Krążą przed burzą jaskółki, lecz ten niepokój strwożonogo ptactwa inne ma jeszcze przyczyny. Starzy sternicy tępieją lub umierają, rozpoczyna się szukanie sił nowych i nagle spostrzegamy, że się nawzajem nie znamy. Ludzie macają po ciemku, chwytają na oślep wybrańców swoich, wskazują tu i tam i lęk mają w duszach. Egoizm dotychczasowej oligarchii tak pilnie czuwał, by obok dawnych firm żadna nowa się nie ukazała, i tak zręcznie dusił każdy silniejszy indywidualizm, każdy talent, każdą aspiracyę do wyniesienia się ponad tłumy szare, że dziś mamy przed sobą jakąś wielką, nieubłaganym strychulcem dokładnie wyrównaną masę, wśród której może znajduje się ten i ów wybitniejszy umysł, lecz któż go odnajdzie! A w takich warunkach nic łatwiejszego, jak błędny wybór uczynić; niech tylko zjawi się efektowny rycerz pozorów i wyzyska chwilę, a pewnym być może zwycięstwa.

Sytuacya staje się tem krytyczniejszą, że nietylko toczy się ku nam ze świtą gromów i błyskawic nawałnica germańska, lecz wewnątrz coś się przewraca, coś kotłuje i dąży do nowych form życia. Zażegnać tej burzy nie można, tak jak nikt nie powstrzyma narodzin wiosny lub wstrząśnień planetarnych, wytwarzających często odmienne kształty istnienia. Wielkiego ruchu demokratycznego, który z nieubłaganą konsekwencyą zdąża do stanowczych przeobrażeń społecznych, żaden czarnoksiężnik spętać już nie zdoła, lecz łudzić się również nie wolno, że obrońcy starego porządku uchylą czoła bez walki przed koniecznością rozwojową i zawiesiwszy stare zbroje w muzealnych gabinetach, gdzie tęsknie dumać nikt im nie zabrania, przykroją umysły swoje i dążenia do nowych form życia. Zdawałoby się, że mistrzyni życia, historya, powinna być najnajskuteczniejszą wskazówką, że takich przełomowych, warunkami kultury i ekonomii podyktowanych bojów, żadnym egzorcyzmem zażegnać nie można, a przecież pojawiają się u nas bezustannie jacyś deklamatorzy i wyklinają „duchy niezgody" lub podniósłszy rękę, prawią o pogodzeniu powaśnionych stronnictw, o nakryciu wszystkich kontrastów kapeluszem solidarności i o tysiącach podobnych czarnoksięzkich czynów. Prawdą a Bogiem wszystko to dźwięczy jakąś rajską melodyą i nie dziwiłbym się wcale, gdyby jaki smakosz tanich oklasków z pucharem w ręku i w bankietowym nastroju rzucił fajerwerk taki rozczulonym współbiesiadnikom. Nie dziwiłbym się również, gdyby w w chwilach wielkich patryotycznych uniesień, na sali w girlandy przybranej, gdy tłum upić się pragnie potęgą momentu, ktoś takiem płomiennem „Kochajmy się" próbował zgłuszyć na kilka godzin społeczne antogonizmy, — lecz u nas błyskotliwa retoryka tak silnie wpiła się w dusze ludzkie, że nawet tam, gdzie grono „poważnych" polityków przy drzwiach zamkniętych radzi nad budową programów, sprężynami publicznego życia, prądami chwili, powtarza się ten piękny frazes o czarownej harmonii społecznej, o zbrataniu wszystkich klas i stronnictw i zaklęciu całego kraju w jakieś Elizium zgody i miłości. „Kochajmy się na bankietach" i „Kochajmy się" w polityce, — tak budujemy przyszłość i tumanimy bezkrytycznych słuchaczy, upojeni własnym frazesem.

Nie myślę przeczyć, że zaprowadzenie jakiegoś „*modus vivendi*" między skłóconemi prądami doby obecnej jest wobec wspólnego wroga nietylko pożądanem, lecz możliwem do urzeczywtstnienia. Zdaje mi się jednak, że to królestwo liryzmu politycznego, który nie widząc głębokich podstaw nowego ruchu i płynącej z niego konieczności walki, wszystko kładzie na karb jakichś przelotnych duchów niezgody, jakichś chwilowych nieporozumień i osobistych uprzedzeń, — prowadzi tylko to zmącenia pojęć w społeczeństwie naszem. Niech się nikomu nie zdaje, że jakąś cudowną modlitwą odżegna burzę i sklei zerwane ogniwa, — ten bój, który od lat kilku wre na ziemi naszej trwać będzie, bo trwać *musi* i prędzej czy później skończy się waszą kapitulacyą, obrońcy starego porządku, maroderzy stulecia! *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA

Wydawnictwo groszowe imienia Tadeusza Kościuszki puściło w świat sześć nowych książeczek z działu dotychczas w piśmiennictwie popularnem najbardziej zaniedbanego, a mianowicie z hygieny. Autorem tych cennych broszurek (a nader tanich, bo po 3 ct.) jest dr. O. Bujwid, profesor hygieny przy Wszechnicy Jagiellońskiej.

W pierwszym dziełku, p. t. „*O przyczynach i zapobieganiu chorobom zaraźliwym*" tłómaczy autor w bardzo zrozumiały sposób istotę zarazków czyli bakteryi w ogóle, nieco więcej mówi o zarazkach suchot, tyfusu, cholery, szkarlatyny, ospy, wąglika. Następnie podaje, w jaki sposób te zarazki dostają się do organizmu ludzkiego, jak się tam rozwijają i wywołują chorobę, wyjaśnia istotę szczepienia niektórych chorób, jak ospy, wścieklizny i wreszcie kreśli sposoby ustrzeżenia się przed chorobami zakaźnemi.

W książeczce drugiej „*Jakie pokarmy i napoje są najzdrowsze*" omawia najpierw skład chemiczny ciała ludzkiego, aby tym sposobem uzasadnić potrzebę różnorakich pokarmów, zawierających w sobie rozmaite pierwiastki, podaje następnie, w jakiej ilości poszczególne pokarmy powinny być użyte i jak mają być przyrządzone, aby jak najwięcej sił i zdrowia przysporzyć naszemu ciału. — Nader cenne są uwagi o żywieniu dzieci, a szczególniej niemowląt i matek je karmiących. Niemniejszej wagi są wskazówki o żywieniu się dorosłych, przy czem znakomity hygienista podaje zestawienia kolacyi, obiadów itp. (obiady w cenie od 12 do 25 ct.) najodpowiedniejszych dla zdrowia.

Następne książeczki: „*Jak należy urządzić pomieszkanie, aby uniknąć chorób*", „*O tytoniu i napojach alkoholowych*", „*Jak otrzymać dobrą wodę do picia. Znaczenie wodociągów i kanałów*" już tytułami swymi mówią o swej treści. — W ostatniem dziełku p. t.: „*Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach zachorowania*" znajdujemy rady i wskazówki o udzieleniu pomocy przy skaleczeniach, złamaniach, utonięciu, zaczadzeniu, otruciu i t. p.

Broszurki te zasługują na jak największe rozpowszechnienie nie tylko wśród ludu, ale nawet i inteligencyi, a szczególniej wśród mieszkańców miast gdzie stosunki zdrowotne wiele pozostawiają do życzenia.

Cena sześciu książeczek 18 ct., z przesyłką 22 ct.

Adres „*Wydawnictwa groszowego*" brzmi: *Lwów*, ul. *Ormiańska* 2.

* * *

* Nr. 6 „*Przeglądu literackiego*" wyszedł i zawiera: A. N. Mickiewicz przez K. Bartoszewicza. „Janka" Zapolskiej przez Kaźm. Zdziechowskiego. „Pierwsza miłość" Konara p. Antola Krzyżanowskiego. Sewera „Biedronie" p. K. Bartoszewicza. „Zielony kajet" Gomulickiego i „Jedynaczka" Lemianowicza p. R. Zawilińskiego. „Starzy i młodzi" Sewera p. M. Offmańskiego. Vrchlicky'ego przekład „Dziadów", Czarnika „Korzeniowski" i Studzińskiego „Geneza utworów Szaszkiewicza" przez J. T. Tretiaka. „Lysistrata" Koźmiana p. Z. Samolewicza. „Historya lit. pols." Maryana z nad Dniepru p. K. Wojciechowskiego. Kalinki „3 maj." p. A. Chmiela. Jelinka „Spolecnosti a ustawy polské" p. F. Konecznego, Steckiego „Wspomnienia" p. K. Bart. Lisieckiej „Ze świata muzyki" p. Ludwika Glatmana. Krceka „Szkolnictwo czeskie" p. Bart. X. Bukowskiego „Pamiętnik Zjazdu Kateche-

tów“ p. X. Fijałka. Doleżana „Moralność a śmiertelność“ p. C. Bibliografia czasopism polskich. Przekłady z Polskiego i rzeczy polskie w obcej literaturze. Wiadomości literackie. Nekrologia. Pogadanki w Związku literackim.

* * *

* Wiktor Gomulicki. „Do niej i do niego“. Pogadanki na temat małżeństwa. Warszawa. Paprocki 1894. 10-o str. 80.

W pierwszej części tych swoich pogadanek zwraca się autor najprzód do panny „na wydaniu“, a potem do kawalera, pragnącego się ożenić, wykazując, jak błędnemi są pojęcia o małżeństwie, którym większość ludzi, zabierających się do tego stanu, hołduje. W drugiej połowie broszury zbija zarzuty korespondentek, które protestują przeciwko pesymistycznym autora zapatrywaniom na płeć piękną. Mężczyźni, jakkolwiek w pogadankach swych G. odmalował ich czarno, połknęli pigułkę bez protestu. Listy „emancypantek“, „tych, które mogą zostać żonami“ i innych oponentek dają obfity materyał autorowi nietylko do poważnej obrony swych poglądów i spostrzeżeń, ale i do gorzkiej satyry, która też nieraz ukrywa się pod lekką formą pogadanek autora.

* * *

* Kaz. Laskowski. Żydzi przy pracy. Notatki wieśniaka. Warszawa, 1896, str. 89.

Autor widocznie pozazdrościł Junoszy wawrzynów i zapragnął odtworzyć kilka typów żydowskich ze wsi i z miasteczek. Czuć to przynajmniej z pewnej dozy humoru, z jakim swe postacie opisuje; lecz nadzieja go zawiodła, bo szkice te nie mają szczególnych cech artyzmu, a są raczej robotą dziennikarza, usiłującego przeprowadzić pewną tendencyę. W rzeczy samej, autor przyznaje się w końcu książki, że miał na celu popchnąć „ogół społeczny“ do przeciwdziałania „kultowi takiej pracy“, jaką uprawiają żydzi prowincyonalni. Realnych cech jego postaciom nie braknie; są one dostatecznie prawdziwe i mogą zająć czytelnika, miewającego z niemi styczność w życiu codziennem. Autor wystawia typy handlarza zbożem, faktora, lichwiarza, cyrulika, przemytnika i sklepikarza. Typy te autor uposażył jednak w takie barwy, że można podziwiać raczej naiwność ofiar, niż przebiegłość synów Izraela.

* * *

* Władysław Nowicki. „Na letniem mieszkaniu.“ Z 20-ma ilustracyami Jana Wasilewskiego. Str. 190. Cena rs. 1,35.

Teresa Jadwiga. „Szlachetne serca, trzy powieści dla młodzieży.“ Str. 110. Cena kop. 80.

Zbigniew Kamiński. „Cyrkiel i ekierka, początkowe wiadomości z geometryi.“ Z 26-ma figurami w tekście. Stron 110. Cena kop. 80.

Trzy książki powyższe, zalecane przez wydawcę na wakacye tegoroczne, stanowią dalszy szereg wydawnictw młodej względnie firmy M. A. Wizbeka, która w ostatnim roku dość żywo zaznaczyła swą działalność na polu wydawniczem.

„Na letniem mieszkaniu“ — jest opowiadaniem o pobycie dzieci miejskich na wsi, gdzie pod kierunkiem rodziców zaznajamiają się z życiem wsi, szczegółami gospodarstwa wiejskiego, narzędziami rolnika, warsztatami wiejskiemi itp. Jest to niejako nauka poglądowa o wsi, udzielana na tle przechadzek, przygód i zabaw, jakich dzieci nasze używają podczas pobytu na wsi. Bardzo ładne rysunki mile dopełniają opowiadanie, nadając książce charakter zupełnie swojski. To wyróżnia ją bardzo korzystnie od wielu podobnych opowiadań, tłomaczonych z języków obcych i ozdobionych obcemi kliszami.

„Szlachetne serca“ zawierają powiastki nieco tkliwe, ale tchnące, jak zawsze u p. Teresy Jadwigi, wielką dobrocią. W pierwszej przedstawioną jest młoda córka doktora, opiekująca się dwojgiem chorych dzieci biedaków. Jako wzór filantropii dla ludzi zamożnych powiastka jest na miejscu, lecz dziwnie wygląda w niej na końcu ustęp o szlachetnych sercach, które pamiętają o biednych nieszczęśliwych, zwrócony do chłopca biedaka.

W powiastce „Niekochana“ widzimy obrazek rodziny, gdzie jedna z sióstr uważa się za nielubianą przez matkę i drugą siostrę i dopiero wypadek tonięcia pokazuje jej, że się myliła.

W ostatniem opowiadaniu młody chłopiec po śmierci ojca zostaje opiekunem rodzeństwa, pomaga mu kształcić się wyżej i sam pracą i nauką wybija się na wyższe stanowisko.

Obiedwie powyższe książki, przedewszystkiem zaś „Na letniem mieszkaniu“ stanowić mogą pożyteczną rozrywkę dla dziatwy.

„Cyrkiel i ekierka“ jest książeczką ściśle pedagogiczną, zawierającą elementarne pojęcia figur geometrycznych i ich własności, wyłożone w zadaniach. Jeszcze przed 10-ciu laty p. S. Diksztajn zwrócił u nas uwagę na zaniedbanie w kursie elementarnym z dziećmi nauki geometryi i napisał odpowiedni podręcznik („Geometrya w zadaniach.“) Do tamtej przybywa obecnie książka p. Kamińskiego, ułożona systematycznie i stanowiąca dość wykończoną całość. Postawilibyśmy jej wszakże dwa zarzuty: po pierwsze zbyt jest teoretyczną, zbyt mało uwzględnia praktyczne zastosowanie geometryi w życiu codziennem; powtóre zaś jako podręcznik, jest może za ładnie wydaną, a więc za drogą. W każdym razie „Cyrkiel i ekierka“ w znacznym stopniu ułatwią niewprawnemu nauczycielowi wprowadzenie geometryi do kursu nauk z dziećmi w wieku przedszkolnym. *M. B.*

* * *

* Teatr amatorski. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

W dalszym ciągu ukazały się w tym szeregu dwie książeczki: „Nasze bziki“, farsa w jednej odsłonie przez Henryka Piątkowskiego, oraz „Mankiet“, fraszka sceniczna przez Edw. Lubowskiego, grana po raz pierwszy w Warszawie na korzyść rodziny po ś. p. Adolfie Ostrowskim.

ODEZWA.

Od redakcyi „Ziarna“ (Lwów) otrzymujemy z prośbą o umieszczenie odezwę następującą:

Zgon śp. Emilii Sczanieckiej wywołał żal szczery i uznanie powszechne dla jej obywatelskich zasług. Wyrażając wszakże to uznanie, opieraliśmy się wszyscy na jedynym, o ile nam wiadomo, opracowanym materyale w tej mierze przez zacną śp. Felicyę z Wasilewskich Boberską w broszurze: „O polkach, które się szczególnie zasłużyły Ojczyznie w powstaniu listopadowem“. A chociaż materyał to opracowany gruntownie, na podstawie starannie zebranych informacyi i z tem zrozumieniem charakteru i dążności śp. Emilii, które dać może jedynie wspólność przekonań i pracy dla jednego celu, jednak sam tytuł wskazuje, że nie był to właściwy życiorys.

W broszurze pamiątkowej wydanej obecnie staraniem redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ podano opis pogrzebu śp. Sczanieckiej, jej ostatnią wolę i bardzo zajmujący szereg faktów cechujących wzniosły jej charakter, zaznaczając słusznie iż na opracowanie życiorysu potrzeba dłuższego czasu, a praca to tem trudniejsza, że śp. Emilia „rzadko o sobie mówiła, a pisać nie pozwalała“. Pamięć więc jej czynów tradycyą tylko z pokolenia w pokolenie przechodzi.

Otóż tradycyę tę zebrać i utrwalić drukiem, ku nauce młodych pokoleń, pragnie redakcya „Ziarna“ i dla tego zwraca się z uprzejmą prośbą, o łaskawe dostarczenie jej materyałów tak do Szanownej Rodziny śp. Emilii Sczanieckiej, jak i do Wszystkich, którzy są świadomi prac i działalności Zmarłej na polu narodowem, społecznem, dobroczynności i stowarzyszeniowego życia. Szczegóły odnoszące się do organizowanych przez nią stowarzyszeń kobiecych w celach patryotycznych, ujawnić mogą nawet niejeden przyczynek do historyi naszego narodu, a zawsze stanowić będą bardzo ważne dane do charakterystyki obywatelskiej działalności Polek i urabiania ich charakterów i poglądów pod wpływem miłości ku Ojczyznie. Pożądane są nam materyały różnorodne: fakta, wspomnienia, charakterystyczne czyny i słowa Zmarłej. Listy jej samej, o niej i do niej, sprawozdania i ustawy stowarzyszeń, lub wiadomość o nich. Naturalnie wszelkie dokumenta udzielone najstaranniej zwróconemi będą.

Mamy nadzieję, że uznanie dla zasług wielkiej Patryotki, oraz wzgląd na potęgę przykładu i pożytek wypływający ze zgłębienia wielkich i zacnych charakterów, skłoni osoby posiadające dane do życiorysu śp. Emilii Sczanieckiej do nadesłania ich nam łaskawie pod następującym adresem.

Redakcya Ziarna we Lwowie (Galicya).

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W niektórych pismach warszawskich i krakowskich pojawiła się wiadomość, że rada nadzorcza teatru poznańskiego postanowiła powierzyć dyrekcyę panu Edmundowi Rygierowi, znakomitemu artyście teatru krakowskiego. Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, że sprawa znajduje się dopiero w pierwszej fazie rozwoju, — życzyćby jednak wypadało, aby pertraktacye osięgły skutek pożądany i na czele sceny naszej stanął człowiek, którego talent, fachowość i charakter stanowią gwarancyę, że teatr nasz dźwignie się nareszcie z upadku. — Herman Sudermann napisał trzy jednoaktówki, z których każda stanowi osobną całość, wszystkie jednak związane są z sobą ideą przewodnią. Rzecz pierwszej dzieje się w czasach bajecznych, drugiej w czasach historycznych, trzeciej w naszych czasach. Nowość ta przedstawiona będzie w „Deutsches Theater“. — Znana i u nas z gościnnych występów śpiewaczka p. Czosnowska, opuściła warszawski „Teatr mały“ i zaangażowała się do moskiewskiego „Ermitażu“. — Zygmunt Sarnecki napisał nową sztukę teatralną p. t. „Cud — dziewica“. Na scenie krakowskiej utwór ten będzie wystawiony w sezonie jesiennym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Franciszkowi S. Zanim udzielimy dokładnych informacyi, prosimy nam donieść, gdzie te dukaty z czasów Jana Kaźmierza są bite: czy w Toruniu, czy w Gdańsku, czy w Elblągu. Prosimy również o doniesienie z którego roku pochodzą. Wtedy dopiero oznaczyć możemy w przybliżeniu wartość monet.

Czytelnikowi z Torunia. Arnauci to turecka nazwa Albańczyków. Identyfikowanie ich z cyganami jest błędnem. Radzimy przeczytać dzieła Schwiekera i Potta o cyganach.

Sylwan. Nie mamy ani obowiązku ani czasu, aby „dokładnie uzasadniać“, dla czego ten i ów utwór nadesłany redakcyi nie kwalifikuje się do druku. Jesteśmy zawsze gotowi służyć radą i wskazówkami abonentom naszym, nie należy jednak żądać za wiele. Gdybyśmy o każdej z odrzuconych nowel lub poezyi podawali autorom wyczerpujące oceny, wykazywali wszystkie błędy i zalety, podawali „projekty zmian i przeróbek“, nie starczyłoby nam zaiste czasu na redagowanie pisma.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28